



Zeszyty TŁUMACKIE



I KWARTAŁ 2003

ISSN: 1426-4129

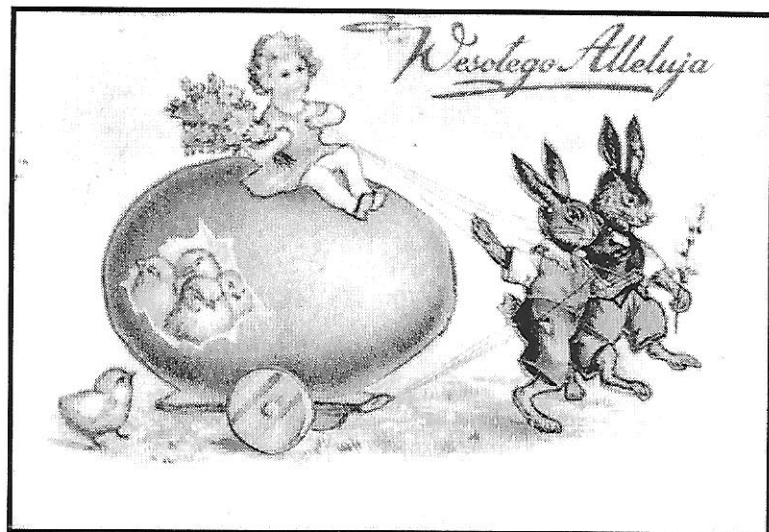
Nr 1(29)

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan - Wrocław



Poczta w Tłumaczu

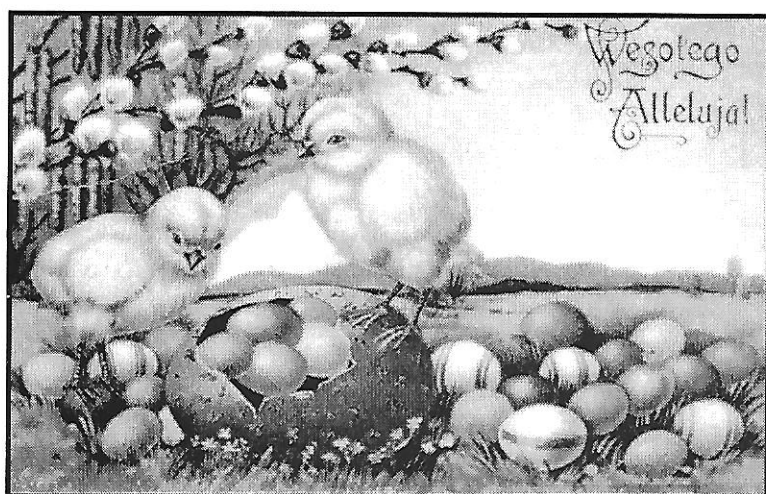
Wesołego Alleluja



*Wszystkim Naszym
Szanownym Czytelnikom,
Drogim tłumaczanom
pogodnych, zdrowych
Świąt Wielkanocnych*

życzy

Larząd COT i Redakcja LIT



Wokół Wielkanocy

Jajko



Jajko w epoce przedchrześcijańskiej było metaforą błyskawicy i słońca, ożywczych sił przyrody, jakie budzą się w czasie jej wiosennego przebudzenia. Wiele legend na całym świecie opartych jest na tym, że świat powstał z jajka.

Grecy i Rzymianie wywodzili wszechświat „ab ovo”, które według Heroda zniósł Feniks w świątyni Heliosa. Mity staroindyjskie początek świata widzą w ogromnym jajku; fińska Kalewala opowiada, że potężny Wejnemejan stworzył świat z jajka orlego; Persowie wierzyli, że na początku było jajko, z którego „wyłupił się” świat cały ze słońcem (białko) i księżycem (żółtko). Podania i legendy ukraińskie opowiadają, że przed wiekami, gdy ziemia była jeszcze pusta, zesłał Bóg na ziemię koguta, aby ja ożywił. Ten zniósł jajko, z którego wypłynęło siedem rzek, te zrosiły doliny i wkrótce wszystko zazieleniało się i ożyło...

[...] Jajko uważane było od setek lat jako siła przeciwdziałająca złym duchom. Używano jajek jako „kamienia węgielnego” przy zakładaniu nowych miast, wielkich budowli (np. kościoł Mariacki), przy budowie nowych domów...

[...] Jajko figuruje też we wszystkich obrzędach oplatających każdy ważny moment pracy rolnika. Gdy na wiosnę pierwszy raz wyprowadzano bydło na pole, kładziono na progu stajni jajko, które po przejściu stada oddawano biednym z prośbą o modlitwę za bydło. Po grzbiecie każdej sztuki bydła – od konia aż do owcy – taczono



jajko po to, aby bydło przez lato stało się krągłe jak jajko, konie zaś biegly tak szybko jak ono się toczy.

Do pomocy jajka uciekano się zawsze, gdy tylko odczuwano potrzebę obronienia od złych duchów człowieka, jego domów i miast, bo jajka miały według wierzeń posiadać właściwości przeciągania na siebie ciężkiej na człowieku lub zwierzęciu choroby.

Wiele jest też starych legend i podań dotyczących początków malowania jajek. Podanie greckie z X w. mówi, że zwyczaj malowania jajek wielkanocnych wprowadziła św. Magdalena. Płaczącej przy grobie Zbawiciela Marii Magdaleny ukazał się anioł rzekł: „Nie płacz, Chrystus zmartwychwstał”. Ucieszona kobieta pobiegła do domu i zobaczyła, że wszystkie jajka zaczerwieniły się. Wysła więc przed dom, spotkała apostołów i rozdając im czerwone jajka opowiadała o zmartwychwstaniu Pana. W innej wersji Maria Magdalena przyszedłszy do Heroda z prośbą, aby ulitował się nad Jezusem, podarowała mu kilka malowanych jajek. Ta legenda dała początek wierze, że to same dziewczęta powinny malować jajka, a najładniejsze z nich podarować swoim chłopcom, co zjedna im miłość...

Jakikolwiek zresztą był początek malowania jajek – zwyczaj ten trwa do tej pory i zajmuje wiele miejsca w zwyczajach wielkanocnych. To pisankami właśnie wykupują się dziewczęta przed oblewaniem w Poniedziałek Wielkanocny, to z nimi wiąże się wiele wielkanocnych zabaw i gier...

Były też pisanki ulubionym podarunkiem wielkanocnym. Całe ich stopy ofiarowano w dowód przyjaźni najbliższym i przyjaciółom, bowiem podarowanie pięknie zdobionego jajka było wyrazem dobrych życzeń i serdecznych uczuć...

Przedruk: H. Szymanderska: „Polska Wielkanoc”. W-wa 1990

Pisanka

Przedruk z ukraińskiego albumu pt. „Podaruj mi pisankę” Iwano-Frankiwsk 2001

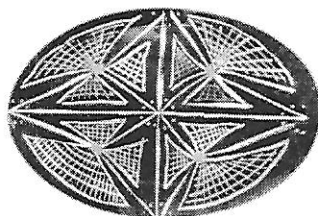
[tłumaczenie z j. ang. Jacek Bukala]

[...] Niepodobno znaleźć dzisiaj osobę, która nie wiedziałaby lub nie słyszała o huculskich pisankach i ich magicznej sile.

W przeciągu wieków tradycja malowania ornamentów na jajach kurzych przerodziła się w piękną tradycyjną sztukę ludową. W Wielkanoc z pisanką związana jest wiara w nowe szczęście, siłę, pomyślność i zdrowie.

Artyzm malowania jaj wielkanocnych płynie od serca, z duszy, od Boga.

Zdumiewające jest, że zwyczajni ludzie tworzą tak artystyczne prace przy



pomocy wosku farby i małego pacytka. Wziąwszy do ręki taką pisankę stajesz się lepszy, miłszy, bardziej czuły.

To dlatego huculskie dziewczyny najładniejsze pisanki dają młodzieńcom na Wielkanoc koło cerkwi z życzeniami lepszego losu.

Rzeczywiście, pisanka zawiera magię stworzoną przez kobiety, opiekunki domowych ognisk, dają zdrowie, długie życie, siłę, szczęście, bogactwo [...].

Album Wielkanocny „Podaruj mi pisankę” stworzono dzięki wyobraźni i talentowi dzieci Podkarpacia. Szczęrze błogosławie tej wspólnej pracy młodzieży życząc wspaniałej przyszłości artystycznej.

Bogdan Stupka

Minister Kultury Ukrainy

[aktor odtwarzający Chmielnickiego w filmie J. Hoffmana „Ogniem i Mieczem”]

„Ojca Grande przepisy na zdrowe życie”

Z tej książki wybraliśmy zwyczaje, sentencje i przepisy wielkanocne. Smacznego!

Redakcja



POST I ZDROWIE

- [...] Prorok mówi o przemianie serca i poprawie własnego postępowania, nierozzerwalnie związanych z postem. Ja natomiast mogę mówić o jego stronie zdrowotnej. Post przygotowuje organizmy do wiosenno-letniej aktywności, oczyszcza, reguluje przemianę materii, pobudza do samoodradzania. Występuje od tysięcy lat we wszystkich ludzkich kulturach i religiach. Nawet jeżeli ktoś jest osobą niewierzącą, nie powinien przez okrągły rok, bez względu na porę, odżywiać się wciąż tak samo i najadać do syta. W zimie i na przednówku jadamy ciężko: grochówki, fasolki, dużo wieprzowiny, wołowiny, baraniny, pyzy mięsne polane tłuszczem, smalec ze skwarkami itd. Po tym okresie przychodzi czas postu, wypalania nadmiaru kalorii, wymiatania niestrawionych resztek. Nie zaszkodzi jeżeli w okresie poprzedzającym święta wielkanocne zrzucimy parę kilogramów. Ograniczona ilość dostarczanego z zewnątrz pożywienia, powoduje, że organizm uruchamia odżywianie wewnętrzne i nawet potrafi tą drogą wyleczyć niejedną chorobę.

Nie szukajmy więc niczego innego poza własną silną wolą. Przy czym ograniczenia ilościowe też muszą być rozsądne, nikt nie wymaga od nas wyczynowej ascezy. Jeśli, dajmy na to, dotychczas nakładaliśmy na talerz 4 ziemniaki, w okresie postu nałożymy 2, do tego mniejszy niż zazwyczaj kawałek mięsa, połowę zwyczajowej porcji ciasta itd. Układ trawienny przyzwyczai się do zmniejszonych racji i uczucie głodu po kilku dniach zniknie.

Warto też przypomnieć sobie, że w przeszłości w naszej części Europy przestrzegano dość surowego reżimu jedzeniowego. Nie było zwyczaju objadania się i to zarówno w warstwach biedniejszych, jak i bogatszych. Nasi przodkowie mieli taką trochę wilczą dietę, która hartowała i pomagała przetrwać nie jeden ciężki czas.

PRZYGOTOWANIA DO WIELKANOCY

- W ramach pierwszych przedświątecznych przygotowań już możemy zasiać owies, który łatwo kiełkuje, wyrasta na wysokość 8 do 10 cm i może stanowić piękne tło dla cukrowego baranka z czerwoną chorągiewką (nie dla zająca, nie mającego nic wspólnego z chrześcijańską kulturą).

Owies sadzimy w doniczkach lub ozdobnych pojemnikach wypełnionych ziemią (inaczej niż rzeżuchę, której wystarczy lignina i tydzień na wyrośnięcie), stawiamy w ciepłym miejscu, podlewamy. Przypomnę, iż dawniej w polskich gospodarstwach pierwszym wyro-

śniętym owsem dzielono się na Wielkanoc z bydłkami, tak jak opłatkiem w noc wigilijną.

PALMY

- Dwa tygodnie przed świętami Wielkanocy należy włożyć do dzbanków z wodą gałązki wiśni względnie forsycji. Zakwitną one biało lub złociście akurat pod koniec Wielkiego Tygodnia.

Już trzeba pomyśleć o porządkach świątecznych (za moich czasów na święta wielkanocne obowiązkowo bielilo się i malowało mieszkania).

Istniał kiedyś, dziś już zapomniany praktyczny obyczaj, który polecam uwadze współczesnych rodziców. Otóż, na wiosnę każdemu z dzieci czy dorastającej młodzieży można sprawić coś nowego z garderoby (nie słodyczne, nie elektroniczne zabawki) i podarować w świątecznej paczce.

Uszukujemy palmy na Niedziele Palmową z przyozdobionych barwnie wierzbowych gałązek. A potem, już poświęcone, niech stoją w wazonie czekając na niedzielę wielkanocną, kiedy to zakładamy je za obraz wiszący na ścianie naczelnej.

O HONOR JAJKA

- Nowomodna naukowa krytyka jajka, które rzekomo ma być przyczyną podwyższonego cholesterolu niepotrzebnie namieszała ludziom w głowach. Najnowsze badania potwierdzają jedynie to, co zawsze mówiłem. Jajko nie bez powodu uchodzi we wszystkich kulturach za symbol życia. Przedwieczny już tak to urządził, że w idealnym eliptycznym kształcie zamknięte są w skondensowanej postaci i najwłaściwszych proporcjach składniki odżywcze niezbędne do rozwoju nowego życia, a dla innych organizmów stanowiące „bombę” odżywczą. Jajko stanowi źródło najwyższej jakości białka (przewyższa je tylko białko znajdujące się w mleku matki), zawiera wiele witamin, przede wszystkim witaminą A, witaminy z grupy B, witaminę E – opóźniającą procesy starzenia, witaminę D, kwas foliowy, wapń, żelazo, a także niezbędny dla paznokci i zębów fosfor.

Kobiety w ciąży powinny spożywać jak najwięcej stężonego, lekko strawnego białka jaj.

Natomiast cholesterolu, o który było tyle krzyku, w jajku znajduje się tyle, ile go trzeba do zabezpieczenia malusieńkich arterii załęgniętego kurczęcia. Jakież to zagrożenie dla naszych organizmów? W dodatku, mamy w jajku lecytynę i cholinę, którymi leczy się miażdżycę cholesterolową.

Możemy więc w okresie wielkanocnym cieszyć się do woli widokiem pięknie pomalowanych jaj i spożywać je bez obawy, starając się jedynie nie łączyć ich z cukrem, na przykład popijając słodzoną herbatą.

PRZY WIELKANOCNYM STOLE

- Przy wielkanocnym stole też powinniśmy śpiewać. Zanim rodzina zasiądzie do śniadania, ojciec lub matka niech zaintonują przepiękną staropolską pieśń rezurekcyjną zaczynając od słów: „*Wesoły nam dziś dzień nastał/ którego z nas każdy żądał/ Tego dnia Chrystus zmartwychwstał/ Alleluja, Alleluja...*”

Dla wierzących święta Zmartwychwstania Pańskie-

go są najważniejsze. Mimo że motyw zmartwychwstania (podobnie jak motyw jajka symbolizującego życie) występuje w innych religiach – bardzo wyraźnie w Egipcie – to jednak nigdzie nie splótł się on tak wyraźnie z życiem doczesnym, jak w chrześcijaństwie. Przekroczenie progu śmierci i spojrzenie na siebie „z tamtej strony” czyni nasze istnienie celowym i sensownym. Warto o tym wszystkim pomyśleć w Wielkim Tygodniu. Tradycyjnie, nie należy w tym czasie zaczynać żadnych ziemskich spraw. Odwracamy się od zgiełku świata i rozmawiamy ze sobą.

Szukajmy dobrych spowiedników, czyli takich, którzy potrafią nie tylko mechanicznie podyktować pokutę, ale coś człowiekowi serdecznie poradzić. Spowiedź ma spowodować przełom i wewnętrzne odrodzenie. A jeśli – co daj Panie Boże – uda nam się w tym czasie porządnie przemyśleć i uporządkować w swoim życiu, święta wielkanocne będą dziesięciokrotnie radośniejsze, nawet przy najskromniejszym stole.

- Wielkanocne śniadanie, podczas którego dzielimy się jajkiem i składamy sobie życzenia, jest rodzajem rodzinnego misterium. Można powiedzieć, że współpracujemy z Przedwiecznym w błogosławieństwie dla domu. Stół wcale nie musi uginać się pod ciężarem jedzenia, ważne by królowała na nim święconka w koszyku i wielkanocny baranek.

ŚWIĄTECZNY ROSÓŁ

Na uroczysty obiad wyjątkowo dopuszczam krytykowany zazwyczaj przez mnie rosół. Jak wiemy, wywary mięsne zawierają tłuszcze nasycone, będące faktyczną, a nie urojoną jak w przypadku jajka przyczyną sklerozy. Ażeby zneutralizować je choć trochę, zalecam wygotować mięso z dużą ilością warzyw, a następnie zaprawić wywar rozcieńczonym przecierem pomidorowym tak, by lekko się zaróżowił. Nabierze on interesującej kwasowości, a przy tym będzie zawierał sporo potasu i witaminy A. Żołądek całkiem inaczej to przyjmie aniżeli sam ciężki wywar, który oblepi śluzówkę, zmaltretuje wątrobę i trzustkę.

Osobiście, robię do rosółu lane kluseczki (dwa jajka roztrzepane z mąką, lane przez lejek na wrzący wywar), a nie makaron. Z mięs zalecić mogę niezwykle smaczną karkówkę, gotowaną w jarzynach, którą podobno nazwano już w Polsce „karkówką à la ojciec Grande”. Do niej koniecznie mocny chrzan. Kogo stać niech się pokusi o kielbasę własnego wyrobu w miejsce kupnych wędlin. Bezwarunkowo powinien znaleźć się na stole półmisek gotowanych jaj, oblanych majonezem, udekorowanych wianuszkami drobno posiekanej rzeżuchy, którą też zjadamy; babka maślana, kolorowy mazurek... Zrezygnujmy w tym dniu z frytek na rzecz ziemniaków gotowanych na żydowski sposób, czyli z dodatkiem masła i mleka, posypanych szczypiorkiem i koperkiem. Pamiętajmy o surówkach... Najważniejsze jednak, by się nie przejadać i – podobnie jak radziłem – zachować odpowiednią kolejność. Na pierwszy ogień niech idą kompoty i potrawy słodkie najłatwiejsze do trawienia, następnie wszelkie mięsowa, na końcu rosół, który organizm przyswaja z największymi oporami.

GAŁKI RYBNE NA WIELKI PIĄTEK

Które mogą być również wykwinnym, choć prostym daniem na inne okazje, przygotowujemy następująco: Mielimy rozmrożone filety z morskazuka lub dorsza, dodajemy ze dwa, trzy jaja na twardo, jajko surowe, dwie, trzy garście tartej bułki, dwie niewielkie surowe cebule drobno posiekane i ze dwie cebule pokrojone i podrumienione na maśle. Sypiemy sporo pieprzu, sól, dokładnie mieszamy, formujemy kule, gotujemy na wrzątku (wywar można zużyć do zupy rybnej). Kule stygną, a my szykujemy sos: na jednej patelni zrumieniamy na oleju kilogram cebuli w talarkach, a na drugiej kilogram startej marchwi. Kiedy zmięknie, łączymy ją z przecierem pomidorowym (nie więcej jak pół szklanki) oraz – do smaku – ketchupem łagodnym i ostrym. Mieszamy z podrumienioną cebulą. Przekładamy tym sosem warstwa po warstwie - gałki rybne. Trzymamy w chłodnym miejscu. Jest to doskonałe danie wielkopostne, a w czasie świąt posłużyć może jako przystawka do delikatnego alkoholu.

BABKA WIELKANOCNA

Jak wszystkie ciasta drożdżowe, wymaga dokładnej proporcji składników: pół kg mąki, 15 dkg cukru, 6 dkg drożdży, 10 dkg masła, 5 żółtek, smażona skórka cytrynowa, 10 dkg rodzynek, szklanka mleka waniliowego, które wcześniej zagotowujemy z połówką posiekanej laski naturalnej wanilii (wanilia, podobnie jak cynamon, jest substancją leczniczą i bakteriobójczą).

Do lekko nagrzanego miski sypiemy 10 dkg przesianej mąki dajemy drożdże rozrobione w mleku z łyżeczką cukru i odstawiamy do wyrośnięcia. Żółtka ucieramy z pozostałym cukrem, dodajemy je wraz z resztą mąki, szczyptą soli i lekko roztopionym masłem do wyrośniętego rozczynu (w kuchni żydowskiej dodaje się jeszcze dwie łyżki oleju). Dobrze mieszamy. Można wziąć część masła na dłoń i wklepywać kilka minut czując jak ciasto pulchnieje pod ręką, wysypujemy rozmoczone, odcedzone i oproszone mąką rodzynki, skórkę cytrynową – jeszcze chwile wyrabiamy i wlewamy ciasto do ogrzanej wysmarowanej masłem i wysypanej krupczatką formy. Czekamy, aż zacznie górować. Kiedy wypełni sobą formę wstawiamy do niezbyt gorącego piekarnika, który stopniowo podgrzewamy, po około 50 minutach sprawdzamy suchość patyczkiem. Jeszcze ciepłą babkę oblewamy lukrem z cukru pudru rozdrobnionego w mleku waniliowym. Zapach rozejdzie się taki, że trzeba będzie dobrze pilnować dzieci ...

JAJKA

Wbrew wszystkiemu, co się o nich mówi, są wspaniałym źródłem właściwego odżywiania i lekiem przeciw miażdżycowym. Można zjadać sześć jajek na dzień i obniżyć sobie poziom cholesterolu. Pod jednym warunkiem - nie wolno łączyć ich z cukrem (np. popijając słodzoną herbatą), ponieważ wtedy poziom cholesterolu momentalnie rośnie. Nie łączmy też jajka z tłuszczami nasyconymi, np. smażąc jajecznicę na maśle czy smalcu. Najkorzystniejszą postacią są jajka gotowane na miękko. Białko proste w jajkach daje człowiekowi ogromne siły, a w żółtku znajdzie on wszystkie mikroele-

menty, biopierwiastki i witaminy. Poza tym, jajko zawiera drogocenną lecytynę, zapobiega miażdżycy.

MAZURKI...

Wielkanocne powinny zachować świeżość do dwóch miesięcy. Sekret ich „długowieczności” tkwi w tym, że ciasto piecze się na maśle, dodając uprzednio trochę mąki ziemniaczanej i 2 – 3 łyżki oleju. Taka „baza” zapobiega wysychaniu. Po wyrobieniu ciasto wyziębiamy w lodówce (kiedyś stawiało się je na noc na kamiennej posadzce kuchni) i pieczemy naszpikowane bakaliami: orzechami, figami, suszonymi śliwkami, skórką pomarańczową (uprzedni zasmażaną w lukrze). Wierzch złościście podpieczony smaruje się białkiem i nakłada gęste konfitury, dodatkowo usztywnione odrobiną bułki tartej i mąki ziemniaczanej. Ozdabiamy to wszystko kratką ułożoną z paseczków ciasta katulanego na stolnicy, dodatkowo posypując gruboziarnistym krystalicznym cukrem. Rozplynie się on podczas pieczenia, tworząc tafelkę trzaskającą pod zębami. Mazurek krojony na małe kawałeczki nie ma prawa się rozsypać.

KARCZEK, BIAŁA KIEŁBASA I GOLONKA NA ZIMNO

Polecam, nie tylko na święta, karkówkę upieczoną w jarzynach, którą spożywać można na gorąco i na zimno bez obawy o cholesterol. Wlewamy na dno brytfanny dwie łyżki oleju, kładziemy kilka cienkich plasterów słoniny, na nie sparzone liście kapusty i karkówkę w całości. Obkładamy ją pociętymi w plastry warzywami: marchwią, cebulą, ziemniakami. Można dodać jabłka obrane z łupiny, pocięte na ćwiartki. Wszystko to należy posypać pieprzem i cynamonem, dodać jagody jałowca, piec pod przykryciem. W trakcie pieczenia wlać szklankę białego wina. Zapach będzie taki, że poczują go sąsiedzi z najwyższego piętra.

W podobny sposób przyrządzić można białą kiełbasę, którą dodatkowo po upieczeniu w jarzynach smarujemy łagodnym ketchupem i ponownie krótko zapiekamy.

Inną, bardzo przyjemną potrawą na święta, jest golonka na chłodno. Gotujemy ją dość długo, żeby nabrała lepkości, odejmujemy mięso od kości, kroimy i układamy warstwami najlepiej w wysokich, niewielkich foremkach, takich jak do pieczenia pierników. Nie zalewamy wywarem, który posłuży nam do ugotowania krakowskiego kapuśniaku. Golonka po schłodzeniu najlepiej następnego dnia, ma ścisłą konsystencję i doskonale nadaje się na przekąskę, zwłaszcza na tak zwanych zakrapianych przyjęciach, Panie Boże, odpuść!

FINEZYJNY POOBIEDNI NAPÓJ

Finezyjny, a zarazem poprawiający trawienie, poobiedni napój: zaparzamy miętę z dodatkiem zielonej herbaty i odrobiną kminku (miażdżąc go wcześniej butelką na twardym podłożu). Słodzimy miodem, dobrze schładzamy, przed podaniem wrzucamy do szerokich szklanek kostki lodu. Napój taki pięknie pachnie, ma subtelną barwę i smak, który zadziwi wszystkich gości.

Natomiast przy kolacji pozwolić możemy sobie

na odrobinę czegoś mocniejszego: ciemne, bezalkoholowe piwo karmelowe zagotowane z garścią rodzynek i laską wanilii studzimy, mieszamy z ćwiartką spirytusu, odstawiamy na dwa, trzy dni. Likier taki, że – Panie Boże, odpuść!...

NA KACA

Jeśli już Polak musi wypić tyle alkoholu, że odwodni organizm i wytraci zapasy magnezu, to powinien zaaplikować sobie po nocy sylwestrowej dwa jajka na miękko, popić je dużym kubkiem kakao, a po chwili – szklanką soku z kiszzonej kapusty. Życzę jednak, abyśmy umieli zachować umiar i zdrowy rozsądek przed szkodą...



Ojciec Grande na progu siedziby wrocławskich bonifratrów



Obchodzenie Św. Wielkanocnych w Tarnowicy Polnej przed wojną

Wyjątki z opracowania „Tarnowica Polna - nasza ojczyzna”

A. Wziątek, Bystrzyca 2002

Bronisław Gacek

Wielki post na wsi był przestrzegany z przesadą. Nie spożywano w tym czasie w ogóle: mięsa, drobiu, jaj, i mleka pełnego. W użyciu była kapusta, ziemniaki, fasola, barszcz, olej konopny i śledzie – ale bez obżarstwa. Święcenie (pascha) w wielką sobotę odbywało się przy kościele. Ustawiano się z koszami a w nich: pascha bułka duża pszenna, chleb razowy, kawał słoniny, kiełbasy, boczki, kawał szynki, gąska sera, jaja, faska masła, chrzan i sól. Na wymienione wiktuały potrzebny był sporej wielkości kosz lub bezpośrednio układano wszystko do obrusa. No i potrzebna była pomoc do niesienia. Na ten temat – prawdziwa anegdota:

Kaśka Zaleska rozłożyła do święcenia pokarmy, a syn Kuba jej asystował. Kiedy ksiądz rozpoczął święcenie ludzie podnieśli kosze do kropienia, a Kaśka do syna: „do góry Kuba z jajem bo ksiądz święci”. Toteż do Kuby przyłgnęło na wsi powiedzenie „Kuba, z jajem bo ksiądz święci!”.

W kościele przy grobie straż trzymała adorację od piątku do Zmartwychwstania. na zewnątrz kościoła Józef Kruk (Krzywý) był kapitanem od baterii moździerzy ustawionych na czterech rogach kościoła. Paliły się ogniska i kanonierzy czekali na odpalenie swoich dział. Gdy procesja wielkanocna z księdzem pod baldachimem wychodziła z kościoła śpiewając „Alleluja”, Kruk dawał rozkaz „ognia”. Huk był niesamowity, ale to potęgowało świąteczny nastrój. Aż wdało się raz „licho”. Chłopcy „niby kanonierzy”, za dużo podsypali prochu, moździerz rozsadziło, kilka osób poraniło, a ksiądz został ranny w ucho. No i tak się skończyła jedna z atrakcji świąt wielkanocnych. Na dzwonnicy można było oglądać moździerz, ale już niezdatne – bo zagwożdżone i zalane ołowiem.

Opowiem też coś o poście. Spora ilość starszych ludzi już od wielkiego czwartku do śniadania wielkanocnego z jajkiem, nic nie jadła za wyjątkiem picia wody. Były przypadki omdlenia podczas rezurekcji.



Tarnowicki stół wielkanocny.

foto: Helena Bajcka

Wiejskie wesele

W okresie Wielkanocy najwięcej odbywało się ślubów.

Bronisław Gacek

Pary małżeńskie na wsi wiązały się w różnych okolicznościach i przypadkach:

- młodzi już od lat szkolnych czuli do siebie po-

ciąg, chodzili ze sobą, a rodzice ich akceptowali ten związek, przeważnie gdy odpowiadał im stan majątkowy obu stron.

- rodzice sami dobierali pary dla swych dzieci mając na uwadze wyłącznie zasoby gospodarcze (morgi). Miłość? nie była ważna, przyjdzie z czasem i dziećmi.

- małżeństwo z musu. Rzadko się zdarzało, ale wypadki chodzą po ludziach. Przed wojną nie słyszało się na wsi o alimentach i rozwodach. Stało się – należy się ożenić.

- młodzi chodząc ze sobą, kochają się, ale brak

akceptacji z obu stron: nie wysondowano co Marysia dostała w wianie (posagu). Gdy np wyręczano się swatką, ona prowadziła wywiad na obie strony, co niekiedy dawało dobre wyniki.

Młodzi byli całkowicie zależni od rodziców. Nie było możliwości usamodzielnienia się (brak fabryk i zakładów przemysłowych), a gospodarstwo należało do rodziców. Ojciec mógł dać lub nie te upragnione morgi.

A kiedy już wszelkie uzgodnienia przedmałżeńskie zostały pomyślnie rozwiązane dawano na zapowiedzi. Obie rodziny młodych szykowały wyprawy.

Panna młoda w szczególności: podstawą była pierzyna, poduszki, pościel osobista, bielizna itp. Planowano zakupy: cielaka, wędliny, barana, alkohol, a w szczególności beczka piwa ze szpuntem (czop – kranik). Ustalano ilość gości weselnych, a proszenie odbywało się indywidualnie, pana młodego z drużbą oraz panny młodej z drużkami, które były nazywane „Młoduchy”.

„Młoduchy” były ubrane w zwyczajne stroje świąteczne. Głowy miały przystrojone. Na splecione warkocze nakładano półksiężyc wykonany z tektury i złożony, do którego doczepiane były jedwabne kolorowe wstążki około 20 szt. sięgające do pasa. W rękach miały bukietiki z suszonych kwiatów z zieleń „wasylka” o specyficznym bardzo ostrym zapachu (pół wieku minęło a jeszcze czuję ten zapach).

Jak wyglądało samo zaproszenie? Po wejściu do domu proszonego „Młoduchy” stały przy sobie recytując: „*Prosił ojciec, prosiła matka i ja was proszę (trzy ukłony) po raz pierwszy, po raz drugi, po raz trzeci przyjdźcie do nas na wesele*”. Następnie panna młoda wszystkich domowników całowała.

Pan młody z drużbą, ubrani odświętnie, w czapkach (kaszkietach), do których z prawej strony były przyczepione bukietiki kolorowych sztucznych kwiatów, wyłącznie do tego przeznaczonych. Ciekawym atrybutem drużby była szpicruta, trzcinka, którą nosił pod pachą (taka jak noszą angielscy oficerowie w wojsku). Taki był w tym czasie obyczaj.

Przed wyjściem z domu pary młodej odbywało się błogosławieństwo rodziców. Do kościoła szło się na piechotę. Przed młodymi, orkiestra grająca marsza a za nimi goście weselni. Ślub w kościele zawsze w niedzielę, zawsze na Sumie.

Powrót z kościoła po ślubie do domu weselnego panny młodej. Na progu domu powitanie przez rodziców chlebem i solą. A w domu było wszystko przygotowane dla gości weselnych. Stoły zastane białymi, lnianymi obrusami, na nich pełno jedzenia.

Gotowaniem zajmowała się wiejska specjalistka, kuchareczka (starsza pani) z pomocnicami. Przed domem w cieniu drzew ustawiano na kamieniach garnki do gotowania. Ale jakie to były garnki? Olbrzymie sagany gliniane, dla bezpieczeństwa drutowane, a mieściło się w jednym do dziesięciu wiader wody (takich garnków nigdzie nie widziałem na zachodzie).

Kuchareczka gotowała „juszkę” (rosół z różnymi przyprawami i z dużą ilością mięsa: cielęcina, baranina i wieprzowina). Po ugotowaniu rozlewano rosół do glinianych

miseczek, malowanych w różne kwiaty, co tworzyło na białym obrusie kolorowy wzór. Chleb był razowy, krojony w pajdy, w koszykach na środku stołu. Po juszce (rosole) podawano mięso, drobione na małe kaski, gotowane w zupie. Do mięsa brano razowy chleb. Legumina była kasza ryżowa lub jaglana na mleku, dobrze prażona (aż powstawała brązowa skórka) posypana cukrem. Po uprząknięciu misek ze stołu, goście zabawiali się „łatkowaniem” czyli przyśpiewkami dotyczącymi pary młodej, celowały w tym kumoszki. Starosta weselny szykował napoje alkoholowe i wędliny na stół. Nadal trwały przyśpiewki a po wódce „słodot” tradycyjne „gorzko, gorzko...”. Orkiestra grała do tańca toteż młodzież szła w tany, a były to walce, polki, „szymy”, oberki no i „kołomyjka”, która była na motywach czardasza.

Na kolację był barszcz czerwony kiszony z mięsem, bigos, kołacz i beczkowe piwo. Po północy „korowaj” i „oczepiny”. „Korowaj” był to duży kołacz, specjalnie pieczony, przyozdobiony różnymi gwiazdkami, gąskami i innymi ozdóbkami.

Oczepiny – sadzano pannę młodą przed stołem po środku, zdejmując welon, a wkładając czepiec (chustkę) atrybut mężatki. Kumoszki krążyły wokół, a przyśpiewki odpowiadają danej chwili. W tym czasie goście podchodzą do stołu i składają dary: pieniądze, bieliznę pościelową, obrusy, płótno oraz deklarują do odbioru inwentarz żywy: barana, świnkę, cielaka na zagospodarowanie na nowej drodze życia. Orkiestra gra, a goście bawią się nadal. Już nad ranem zmęczeni goście szykują się do pochodu, odprawiając młodych do domu pana młodego. Drużbowie niosą, w pochodzie z orkiestrą i gośćmi, wiano panny młodej (pierzynę, poduszki, prześcieradła). W domu pana młodego oczekują już na gości przygotowane stoły z jedzeniem i pić. I od nowa zaczyna się zabawa trwająca nieraz do południa.

Na drugi dzień są poprawiny, a zaproszeni goście to już tylko bliższa rodzina i znajomi. Tradycją było przynoszenie do domu weselnego: białego kołacza i pół litra wódki. Pod ścianami stały ławy, na których siedziały „swachy” stare babki, rozkosznie plotkujące o gościach weselnych.



Wesele w Tarnowicy Polnej. W kapeli weselnej grali: Stanisław Szkwarek-bęben, Franciszek Szkwarek-skrzypce, Michał Szkwarek-cymbały.

Tłumacz w okresie I Wojny Światowej

Powrót (c.d.)

Franciszek Petrus

Dzięki wspomnieniom Janka śledzimy przebieg działań wojennych w naszym mieście, które przechodziło kolejno z rąk austriackich w ręce Rosjan. Janek relacjonuje też przebieg swej służby w wojsku austriackim.

Redakcja

Miasto przybrało wygląd wielkiego obozu wojskowego. Na stałe zakwaterował się sztab jednego z korpusów austriackich. Pełno było wszędzie oficerów i żołnierzy wszystkich niemal narodowości, wchodzących w skład monarchii habsburskiej.

Codziennie w tłumackim parku w godzinach popołudniowych przygrywała orkiestra wojskowa. Czynniono gorączkowe przygotowania do obchodu rocznicy odebrania miasta Rosjanom.

Przy pięknej czerwcowej pogodzie, odbywał się w parku miejskim huczny festyn, przy bardzo licznych udziałach społeczeństwa miejscowego i delegacji okolicznych wsi i miasteczek.

Cały park i przyozdobione zielenią miasto tonęło wieczorem w świetle pięknych kolorowych lampionów. Co chwila rozdzierały ciemności wystrzeliwane rakiety i pomysłowe sztuczne ognie.

Wygłaszano długie mowy na temat potęgi Austrii i rychłego zwycięstwa nad Rosją. Po dowódcy korpusu – przemawiał burmistrz, deklarując w imieniu społeczeństwa wierność dla monarchii i wdzięczność za wyswobodzenie miasta spod wrogiej okupacji.

Niekiedy, gdy orkiestra przestawała na moment przygrywać, gdzieś z południowo-wschodniej strony – dolatywał głuchy, niewyraźny pomruk dział i to nasuwało ludziom pewne smutne refleksje.

Nazajutrz po festynie – komunikaty wojenne doniosły o wielkiej ofensywie rosyjskiej generała Brusilowa, która rozpoczęła się dnia 4 czerwca 1916 r. na froncie od Łucka aż do Karpat.

Komunikaty mówiły o huraganowym ogniu dział rosyjskich, o krwawych walkach i masowych falowych atakach piechoty.

Jeszcze bardziej niż treść komunikatów, zaczęły oddziaływać na wyobraźnię ludności, coraz wyraźniej słyszany huk armat od strony wschodniej i południowo-wschodniej.

Znowu od wschodu ruszyła nawała rosyjska.

Padł Łuck, a następnie Buczacze, Czerniowce i Kółomyja. Cała Bukowina znalazła się w rękach rosyjskich.

Nieuchronnie zbliżała się nowa inwazja rosyjska. W połowie czerwca zaczęto już jawnie czynić przygotowania do ewakuacji miasta.

Znowu zaczęło się wszystko od początku tak, jak

w pamiętnych dniach 1914 roku.

Władze uchodziły pospiesznie do Stanisławowa, a później dalej na zachód. Rozpoczęła przyspieszoną działalność komisja poborowa. Tym razem brano do wojska wszystkich zdolnych do noszenia broni.

Pobór objął również młodzież w wieku osiemnastu lat. Brano do wojska chłopców, którzy dopiero co ukończyli siedemnaście lat życia. Widać było w tym rygorystycznym i pospiesznym poborze, wyraźną intencję ogołocenia obszarów, które mieli zająć Rosjanie, z ludzi zdolnych do służby wojskowej.

A więc – stało się – myślał Janek po wyjściu z komisji poborowej. Zaczyna się nowy okres w historii mego życia. Wojna zaczyna się coraz bardziej wdierać w moje osobiste sprawy, sprawy mego życia. Kto wie, co wypadnie jeszcze przeżyć!

W nastroju przygnębionym udał się do Zosi.

- Jak tam poszło? – zagadnęła go niespokojnie.

- Całkiem źle! – odpowiedział. – Pojutrze wyjazd pod konwojem do Lwowa i tam dopiero przydzielają nas do pułków. Widząc jak przygnębiająco podziałała na Zochę ta wiadomość starała się nadrabiać miną, aby ją uspokoić.

- No, co – Zocha – widocznie potrzebują gwałtownie generałów, kiedy mnie biorą do wojska. Nie martw się o mnie. Jestem pewny, że dam sobie radę. Przecież od razu na front nie pójdę, może skierują mnie do szkoły oficerskiej. Zapewne potrwa to parę miesięcy, a tymczasem sytuacja może ulec gruntownej zmianie. Kto wie, może i wojna skończy się do tego czasu.

Widział łzy w oczach Zochy. Przytulił ją łagodnie do siebie.

- No uspokój się już Zocha! Tu na pewno w niedługim czasie będą Rosjanie. Przecież nie było z nimi w ciągu tego pierwszego roku źle. Na pewno dacie sobie radę z matką. No już kochanie, uspokój się. Powiedz jak ładnie będzie gdy twój chłopak przyjedzie na urlop – może już będzie oficerem – co Zocha?

- Nie chcę niczego, chcę tylko żebyś został tu z nami i żebyś nigdzie nie wyjeżdżał!

Weszła matka.

Wiadomość o powołaniu Janka do wojska uczyniła na niej również głębokie wrażenie.

- Żeby się pan tylko nie dostał czasem na front włoski, bo tam dzieją się straszne rzeczy. Zgrozą przejmują opisy walk nad Isonzo.

- Miejmy nadzieję, że tak źle nie będzie.

- Panie Jasiu – proszę zostać u nas na obiad.

- Bardzo dziękuję, tylko pozwolą panie, że na chwilę wpadnę do domu, by zawiadomić rodziców i poprosić, by mi coś na drogę przygotowali.

- Jasiu wróć zaraz, bardzo cię o to proszę. Chciałabym byśmy tych kilka godzin spędzili razem!

Po obiedzie udali się na spacer. Pola i łąki kipiały wprost zielenią. Powietrze było przepelnione ptasim gwarem. Wierzby nad rzeczką rzucały na łąkę duże cienie.

wiatru poruszał łagodnie ich liść-
zywały się ich srebrne spody. Dzikie
winie gałęzi odprawiały swe gody.

Widzisz Zocha – jak tu wszędzie pięknie i uro-
w. Po prostu chce się krzyknąć z radości życia! Chodź-
my dalej w pola, kochanie – chcę sobie dobrze wbić to
wszystko w pamięć. Tu urodziłem się, tu urastałem, tu
ciężko pracowałem, marząc w tej znoonej pracy o jakimś
lepszym świecie, gdzie nie ma łez i cierpień, gdzie nie
ma głodu.

- Zocha! Wiesz jestem mimo wszystko tak głębo-
ko szczęśliwy, że nie mogę tego wprost wypowiedzieć!
Pomyśl kochanie, że może tam gdzieś wysoko, już napi-
sane jest, że mam nigdy więcej nie zobaczyć tego!

- Ach! Nie mów tak Janku – to byłoby wprost okrut-
ne, bez względu na to czy byłby to wyrok Boży – czy
przeznaczenie! Musisz wierzyć – tak jak ja w to wierzę,
że uczucie nasze przetrwa wszystko, że wrócisz do mnie
Janku!

Ujął jej ręce w swoje dłonie, spojrzał głęboko w jej
oczy, przygarnął ją do siebie i powiedział z widocznym
wzruszeniem: Wierzę Zocha, że wrócę – muszę wrócić!
Weszli na wzgórze, skąd roztaczał się rozległy widok na
miasteczko.

Na horyzoncie, w południowej stronie, rysowały się
wyraźnie rysy Czarnohory.

- Zocha, pamiętasz nasze wakacje 1914 roku?
Pamiętasz Jaremcze – Worochtę i naszego wiernego to-
warzysza Bojczuka? Jak on garnął się do nas młodych,
całym sercem i duszą.

- Musi tam teraz być pięknie – zauważyła Zocha.

- Po wojnie jeszcze pojedziemy w te urocze miej-
sca, pojedzie też zapewne Lolo, Miecio, Nuśka i Zośka.
Będziemy wspominać to lato 1914 roku! Znowu zade-
klamujemy i zaśpiewamy hucułom tak jak wówczas la-
tem.

Z daleka od wschodniej strony, niby głuche grzmoty
odległej burzy, doleciały echa wystrzałów armatnich.

- Tam wciąż trwa jedno i to samo – zagłada dla
tysiąca ludzi – powiedział Janek.

ROZDZIAŁ XVI

Pociąg towarowy zapełniony po brzegi poborowy-
mi sunął wolno w stronę Stanisławowa. Tutaj trzeba było
czekać niemal cały dzień, by dać miejsce pędzącym na
wschód transportom wojskowym niemieckim i austriac-
kim. Szły one całymi godzinami w składach po kilkadzie-
siąt wagonów.

Szły poza piechotą niekorczące się transporty jaz-
dy, artylerii i taborów.

Widać z tego, że sytuacja na froncie jest poważna –
myślał Janek.

Pod wieczór pociąg ruszył wreszcie ze Stanisła-
wowa i został znowu przez całą niemal noc zatrzymany
na węzłowej stacji w Chodorowie.

Tu widać było znowu olbrzymie transporty ciągną-
ce na wschód w kierunku Stanisławowa.

W południe następnego dnia, transport poboro-
wych dotarł wreszcie do Lwowa.

Tu zaczęła się żmudna wędrówka po różnych ko-
mendach uzupełnień tak, że wreszcie trzeciego dnia po

wyjeździe z Tłumacza, Janek został skierowany do szpi-
tala garnizonowego w Krakowie na dodatkowe badania.
Podróż tę odbywał już sam, bez straży, na podstawie
dokumentu wojskowego. Zarówno we Lwowie, jak też
w Krakowie, panowało duże ożywienie. Wszędzie widać
było znaczną ilość oficerów niemieckich, a transporty
niemieckie wciąż płynęły na wschód i na północ od Lwo-
wa.

Zarówno komunikaty wojenne, jak też i prasa do-
nosiły o krwawych nieustannych walkach pod Kowlem
i we Wschodniej Galicji.

Z kierunków uderzenia generała Brusilowa widać
było, że za wszelką cenę pragnie opanować Lwów i Sta-
nisławów.

Co też tam dzieje się w tej chwili z Zochą – myślał
Janek.

Zabłysła mu nikła nadzieja, że może jeszcze
w wyniku dodatkowego badania w Krakowie, zostanie
zwolniony.

Tymczasem poruszał się swobodnie, gdyż łatwo
uzyskiwał przepustki w szpitalu i zwiedzał dokładnie mia-
sto, którego zupełnie nie znał.

Po blisko trzytygodniowym pobycie w szpitalu, sta-
nął wreszcie przed jakąś komisją lekarską, która uznała
go definitywnie za nadającego się do służby wojskowej.

Po upływie dalszych trzech dni, został skierowany
do jednego z pułków piechoty, na Morawach Hohenstadt.
Zaczął szukać tego miasta na mapie i okazało się, że
miasto to nazywa się po czesku Zahreb.

Zaczęło się twarde, bezbarwne życie żołnierskie,
bez żadnych wiadomości o rodzinie, bez jakiegokolwiek
kontaktu ze światem.

Wyżywienie w wojsku było bardzo liche. Żołd sze-
regowca jaki Janek otrzymywał, wystarczał ledwie na
kupno najniezbędniejszych rzeczy, jak: czernidło do bu-
tów, igły, nici, szczoteczka i pasta do zębów.

Szkolenie rekruckie, jakie każdy musiał przejść,
było nadzwyczaj uciążliwe i wyczerpujące.

Tymczasem walki na froncie wschodnim trwały
z niezmienną gwałtownością. Nawała Rosyjska została
powstrzymana pod Kowlem tak, że Lwów nie był na ra-
zie zagrożony, natomiast na froncie południowo-wschod-
nim natarcie rosyjskie czyniło nadal postępy i Rosjanie
po zaciętych walkach zdobyli Stanisławów.

Front zaczynał się jednak stabilizować i jasnym
już stawało się, że ofensywa rosyjska, mimo swj gwał-
towności i olbrzymiego nakładu w materiale wojennym i
ludziach – nie przyniosła spodziewanego rozstrzygnię-
cia.

Obustronne straty na froncie musiały być bardzo
duże, gdyż często dowództwo kadry musiało w przyspie-
szonym tempie formować bataliony marszowe z ludzi
jeszcze nie wyszkolonych i wysłać je pospiesznie na front
dla załatania luk, powstałych w wyniku trwających walk.

Niebawem zaczęto już wysyłać nie bataliony,
a kompanie marszowe, które formowano z byle jakiego
materiału ludzkiego, słowem z ludzi, którzy w danym
momencie byli w kadrze.

Front, jak nie nasycony Moloch, pożerał wciąż
nowe ofiary.

Janek musiał się liczyć z tym, że każdego dnia
mogą go wcielić do takiej kompanii i bardzo szybko może

wówczas znaleźć się na froncie. Po czterech miesiącach pobytu w kadrze awansował na frajtra i został przydzielony jako instruktor do szkolenia poborowych i rezerwistów. Powoli głód zaczynał dawać się we znaki. Jedyną osłodą tego szarego ciężkiego życia były wspomnienia o minionych dniach, o Zosi. Nieraz w wolniejszych chwilach myślał o niej, przywoływał na pamięć przeżycia tych niezapomnianych dni i trudno mu było pogodzić się z tym, że już to przeszło i że być może już jej nie zobaczy.

Powoli rodził się w nim głuchy bunt. Zadawał sobie pytanie – dlaczego ma się tu poniewierać, dlaczego ma cierpieć głód i niedostatek? Co ma wspólnego z tą Austrią – on i miliony innych, by za głupie pomysły o zachowaniu dynastii i monarchii habsburskiej – oddawać swoje życie.

Myśli te trapiły go nieustannie i sądził, że przecież tak samo muszą myśleć i rozważać miliony ludzi, i że nie może to tak przejść bez niczego, bez oddźwięku, i że w końcowym wyniku – musi to dać jakieś rozwiązanie. Chyba ludzie nie dadzą się wciąż pędzić na tę rzeź, jak bezwolne stado baranów. Janek sam nieraz przerażał się swoimi myślami. Nic, tylko dożyć tego momentu, gdy sponiewierana ludzkość zacznie przeprowadzać obrachunek z winnymi.

Tymczasem w dniu 5 listopada 1916 r. prasa doniosła o wydaniu w imieniu cesarza Austrii i Niemiec proklamacji zapowiadającej powstanie Państwa Polskiego, oczywiście w najściślejszym związku z Austrią i Niemcami. Podpisali proklamację te w imieniu swych cesarzy – stojący na czele okupacji niemieckiej i austriackiej w Królestwie Polskim generałowie – gubernatorzy.

A jednak sprawa powstania Polski zaczyna być aktualna – myślał z radością Janek.

Pod koniec roku został skierowany do oddziału jednorocznych. Zebrała się tu spora gromada starszych ad-

wokatów, profesorów, urzędników – wszystko ludzie z cenzusami naukowymi – no i pośród nich młodzi, powołani w tym roku do wojska wprost z ław szkolnych, poważnie z szóstych i siódmych klas szkół średnich. Przejście przez oddział jednorocznych było wstępem do skierowania do szkoły oficerskiej. Kurs był tu zakrojony na trzy miesiące.

Ci, którzy nie mieli matury gimnazjalnej, musieli w tym okresie przygotować się do specjalnego egzaminu, tak zwanego Intelligenzprüfung, składanego w jednej ze szkół kadeckich. Dopiero ukończenie kursu jednorocznych i złożenie tego zastępczego egzaminu, dawało możliwość dostania się do szkoły oficerów rezerwy. Przy takim układzie spraw – rozumował Janek – można jeszcze na dobrą sprawę odwlec pójście na front na przeciąg jakichś sześciu miesięcy. Jest to okres co prawda niedługi, ale kto wie, co w tym czasie może się stać. Pogłoski, o pośrednictwie papieża i prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w sprawie zawieszenia broni i zawarcia pokoju, zaczynały krążyć coraz uporczywiej. Zaczęto też mówić o możliwościach zawarcia odrębnego pokoju Austrii z Rosją. Czy wiadomości te były prawdziwe, czy też wyrażały tylko gorące pragnienia znękanym wojną ludzi – tego nikt na pewno nie wiedział.

W pierwszych dniach marca 1917 roku Janek został skierowany do szkoły kadeckiej w Łobzowie koło Krakowa, dokąd z różnych stron państwa zjechało się moc jednorocznych, celem poddania się egzaminowi. Egzamin trwał cały tydzień i obejmował w zarysie ogólne wiadomości maturalne.

Janek złożył egzamin z wynikiem pomyślnym i powrócił do swego pułku, oczekując na skierowanie do szkoły oficerskiej w Jägerndorfie na Śląsku.

(cdn)

Lata wojenne 1939-1945

W drodze za Ural

Część II podróży

Stanisław Fudali

Wspomnienie ówczesnego 10-latką

W wagonie - ale już na wschód od Zbrucza.

Trudno mi dzisiaj powiedzieć, jak długo stał w Husiatynie "nasz" nowy pociąg, ale to nie jest ważne. Zasympialliśmy bowiem w stojącym na stacji pociągu, a obudziliśmy się już w jadącym; przekroczenia dawnej granicznej rzeki Zbrucz raczej nikt nie zaobserwował, a rano byliśmy już poza wschodnią granicą niedawno rozdeptanej Polski. Rzecz dziwna: uderzyło nie tylko mnie - aczkolwiek wtedy o tym specjalnie się nie mówiło, a dopiero później, że gruntownie zmienił się krajobraz. Pociąg stu-

kotał na szynach tak jak poprzedni, ale ani lasów przy torach, ani kwiatów na łąkach - tylko przestrzeń bezkresna, na której trudno było oko zaczepić, gdzieś pola zaorane, zieleni prawie wcale, wiosek też. Patrzeliśmy na tę radziecką Ukrainę, a odczucia politowania i żalu mieszały się w nas - przecież od Zbrucza na wschód nie było tu zbyt daleko: może paręnaście, a niechby nawet parędziesiąt kilometrów. Ale tu przez niewielkie okienka naszych wagonów do wnętrza płynął autentyczny smutek - nie tylko dlatego, że taki był nasz wtedy nastrój; przecież z tamtej, zachodniej strony Zbrucza przez takie same, a może nieco mniejsze okienka, wpływało trochę radości, naturalnej radości, cieszącej oko.

Przed południem pociąg stanął w polu. Stał półgodziny a może trochę dłużej. Potem ruszył i bardzo powoli jechał do przodu. Pociąg był długi, więc dopiero po jakimś czasie mogliśmy przez okienka naszego wagonu zaobserwować niespotykaną nigdzie w Polsce i na Zachodzie niezwykłą scenę: na odcinku około 50-ciu me-

trowym stali obok siebie mężczyźni i drągiem przytrzymywali szyny kolejowe (z jednej strony torów! - po drugiej stronie toru szyny były umocowane do podkładów); inni ludzie bez zajęcia kręcili się w pobliżu. Domyślaliśmy się, że prowadzono tam roboty torowe, ale nikt nie komentował tego zdarzenia - w wagonie były tylko kobiety i dzieci, a więc nikt znający się na technice.

Późnym popołudniem, a raczej przed wieczorem przejechaliśmy przez Jarmolińce. Staliśmy na stacji bardzo krótko, może 15 minut, i ruszyliśmy dalej. Wystarczyło mi to jednak aby odtworzyć sobie w pamięci scenę z "Ogniem i mieczem", w której Onufry Zagłoba, w sztok zalany na chłopskim weselu, wyrzekł Panu Bogu: "chamy miód taki piją, a Ty na to patrzysz i nie grzmisz", a także scenę w tychże Jarmolińcach, z tymże Zagłobą, zamkniętym w chlewiku przez ludzi Bohuna i przywiązanym do własnej szabli. Próbowałem wypatrzeć ów chlewik i tę chłopską zagrodę, ale bezowocnie. Jarmolińce w 1940 roku już wcale nie były mało znaczącą wioską z połowy XVII wieku, gdy Zagłoba pijał tam miód, ale wcale pokaznym miasteczkiem. Około południa następnego dnia osiągnęliśmy Płoskirów (wówczas po rosyjsku, bądź ukraińsku, Proskórow, a obecnie Chmielnicki), w którym zatrzymaliśmy się chyba nie dłużej niż godzinę; wagonów wcale nie otwierano. Po godzinie znowu zadudniło i zakolysało w wagonie - maszyniści ciągnęli nasz transport tak jak towarowy, a więc z niewyobrażalnymi szarpnięciami przy ruszaniu. Przy jednym takim ruszaniu, ulokowana po przeciwnej niż my stronie wagonu pani Hejtotowa, oparła się o rurę piecyka, w którym wówczas paliło się i poparzyła sobie ramię bardzo dotkliwie; przez najbliższe dwa tygodnie rana nie zdążyła się zagoić.

Co robią normalni pasażerowie pociągu, pasażerowie z własnego wyboru? Patrzą przez okna na mijające krajobrazy, czytają lub rozmawiają. Pasażerowie nie z własnego wyboru, jakimi wtedy byliśmy, próbowali robić to samo - ale jak długo można było rozmawiać i jak długo można było podziwiać mijane okolice? Ja nie miałem o czym rozmawiać, bo mógłbym jedynie opowiadać treść przeczytanych niegdyś książek, ale kogo te treści mogły zaciekawić, zwłaszcza iż opowiadaczem byłbym marnym. Natomiast wyglądanie przez okienko przestało być zajęciem interesującym, bo krajobraz wzdłuż toru kolejowego był monotony - duże bezleśne przestrzenie, zaniedbane małe wioski, przeważnie bezdrzewne i nie imponujące niczym miasteczka, i ciągle to samo, od rana do nocy. Zaczynałem się nudzić, bo sam nie umiałem czymś się zająć. Szczęściem Dzidka Gonkówna miała pomysł i doświadczenie organizowania gier towarzyskich; nie o mnie jej chodziło ale o jej siostrę Hankę, która też nie miała odpowiedniego zajęcia. Dzięki temu spędzałem kilka godzin na górnej półce zajęty grą - nauczyłem się wtedy grać w: inteligencję, układanie sensownych rzeczowników z liter podanego uprzednio wyrazu a także w bitwę morską; innych gier wtedy poznanych już nie przypominam sobie.

Z Husiatyna wieziono nas przez Płoskirów, Żmyrenkę (w której - jak mówiono - nasz Tato rzekomo miał siedzieć w więzieniu - takie przekonanie przez jakiś czas żywiła Mama) i Winnicę, a chyba 18 kwietnia około południa dojeżdżaliśmy do Kijowa. Sam Kijów, oglądany z zatłoczonego okienka (bo każdy próbował w nie wsadzić swoją głowę) bydlęcego wagonu, nie robił większego wrażenia. Rozrzucony na niewysokich pagórkach, opasany wstęgą Dniepru i zasilony zielenią drzew robił nieco lepsze wrażenie niż mijane poprzednio miasta, wrażenie bardziej swojskie, aczkolwiek dobrze wtedy wiedzieliśmy, iż nie może to być przyjazne nam miasto - choć niegdyś polskie to teraz było stolicą republiki radzieckiej, która zniszczyła naszą, nie tylko ogólną ale i lokalną ojczyznę. i choć wiedzieliśmy, że zarówno Kijów jak i Ukraina mają prawie żaden udział w naszej tragedii narodowej, to trudno nam było zachwycać się miastem, oglądanym z okienka bydlęcego wagonu, zamkniętego nie na cztery przysłowiowe spusty, ale na jeden w pełni realny zamek.

W Kijowie na stacji, czy przed stacją staliśmy niedługo. Bowiem z radzieckich doświadczeń przesiedleńczych wynikało chyba, że transportów z wysiedleńcami nie należy zatrzymywać długo na wielkich stacjach, ale można to robić na stacjach niewiele ważnych, albo przed takimi stacjami. Stawał więc nasz transport na wiele godzin przed jakimś mało znaczącymi stacjami i szybko wyruszał ze stacji większych miast. Również z Kijowa wyruszył niemal natychmiast, aby po krótkim czasie wjechać na długi most nad Dnieprem; na moście tym pociąg zwolnił. Zdało się nam, uwięzionym w wagonie, że oprócz zwykłego postukiwania kół doszło jakieś drżenie - przez chwilę wydało się, że most razem z pociągiem runie - takie mieliśmy wyobrażenie o radzieckiej technice; ale most nie runął. Dniepr był szeroki, o wiele szerszy niż Bystrzyca Sołotwińska w Stanisławowie, ale imponującego wrażenia na mnie nie zrobił.

Dopiero na drugi dzień po minięciu Kijowa, na jakiejś stacji, gdzie zatrzymał się "nasz" pociąg, szczęknął zaczep zamka drzwi naszego wagonu, ktoś je nieco odsunął i krzyknął do wnętrza: Dwa czełowieka, dwa wiedra, odin mieszok - chodziło o to, aby z wagonu wytypowano dwóch ludzi, z których jeden przyniesie ze stacji 2 wiadra kipiatku, czyli gorącej zagotowanej wody, która wtedy była bezpłatnie dostępna na każdej większej stacji w Związku Radzieckim, a drugi przyniesie w worku kilka bochenków chleba z przeznaczeniem dla zamkniętych w wagonie. Chleb najczęściej bywał niedopieczony, kleisty, ale gdy nie było czego innego...; gdy było coś innego, kleiliśmy z tego chleba różne figurki, najczęściej szachowe, które potem służyły do urozmaicania czasu przymusowej podróży. Na którejś stacji, zdaje mi się iż w Konotopie, nie było worka w naszym wagonie, więc Mama dała swoje prześcieradło, aby w nim przynieść tych parę bochenków chleba, jakie przydzielono na nasz wagon. W rezultacie tej wyprawy do wagonu dotarł tylko kipiatok, a młodzieńcowi, który w naszym prześcieradle miał przynieść chleb, zabrano prześcieradło i kazano bez chleba wrócić do wagonu. Młodzieniec, rzecz jasna wrócił bez chleba - byliśmy przecież zdani na łaskę i niełaskę wartowników, powołanych przez naszych prześladowców; co do zabranego prześcieradła tylko Mama miała cichy żal. Na drugi dzień, gdy na jakiejś stacji, chyba w Kursku, przetaczano wagony naszego transportu Mama zobaczyła swoje prześcieradło w wagonie wartowniczym, służące tam za parawan; wołała, aby je oddano - do dziś jeszcze słyszę ten krzyk bezsilnej kobiety,

ale z wagonu wartowniczego doszły tylko śmiechy i jakieś niezrozumiałe epitety. Prześcieradła nigdy nam nie zwrócono, ale Mama w sposób przekonujący nauczyła się, że dla dobra społeczności wagonowej nie należy poświęcać własnego dobra; nikt w wagonie nie próbował podnieść kwestii jakiejś rekompensaty Maminej straty - wszyscy byli pokorni wobec przemocy.

Właśnie za Kijowem średnia prędkość naszego transportu wyraźnie spadła - częściej pociąg stał przed stacjami, albo na małych stacjach lub na bocznym torze. W takich przypadkach ogarniała nas złuda, że oto nasi sojusznicy, Francja i Anglia postawili Moskałom twarde warunki, aby cofnęli nasz transport z powrotem do Stanisławowa; o innych transportach, z innych miast wiozących rodaków na wschód wtedy zupełnie nie myśleliśmy, aczkolwiek mieliśmy świadomość, że nie tylko nas spotkał taki los. Budziła się w nas nadzieja, że właśnie teraz Francuzi z Anglikami twardo walą pięścią w stół w naszej sprawie a Sowieci zastraszeni i zgięci w pół biją się w piersi i już wysyłają rozkazy, aby transporty z nami zawrócić do domu. I gdy po godzinnym lub dłuższym postoju lokomotywa szarpnęła i znów pociągnęła na wschód, pozbywaliśmy się złudy, ale nadziei nie; wierzyliśmy jeszcze dość mocno, że nasz los jest w centrum uwagi naszych wrześnieowych sojuszników. Może ta wiara podtrzymywała nas na duchu - może właśnie dlatego w wagonie nie słyszało się lamentów i złorzeczeń.

Z Kijowa transport nasz skierowano na północny wschód, na miasteczko Konotop, skąd podążył już niemal wprost na wschód - przez Kursk, a potem Woroneż. Na którejś stacji, nie pamiętam już, czy było to przed czy za Kijowem, raczej za, gdy transport nasz przetaczano z jednego toru na inny, mijaliśmy powoli inny transport, w którym rozpoznaliśmy Polaków. Dzielili nas szerokość jednego międzytorza, a może dwóch, a pociąg ledwo się toczył, więc można było przez okienka dokrzyczeć się wzajemnie. Byli z Tarnopola, zabrani z domów w ten sam dzień 13 kwietnia - z wisielczym humorem życzyliśmy sobie spotkania na Kaukazie - łudzili się raczej ci z Tarnopola, że naszym przeznaczeniem miał być Kaukaz, bo myśmy żadnego zdania na ten temat nie mieli. Niestety na Kaukaz nie trafiliśmy, oni też, a do spotkania nigdy nigdzie nie doszło.

Nie wiem dlaczego w ciągu pierwszego tygodnia podróży nikt nie pomyślał o miejscu, do którego nas wiozą. Parę razy, gdy na stacji węzłowej po doczepieniu lokomotywy do końca składu jechaliśmy do "tyłu" przez kilkanaście minut mieliśmy wrażenie, że oto właśnie zwrócono nas z powrotem do domu; radość (utajona) trwała jednak niedługo - słońce pokazywało, że ciągną nas znowu na wschód.

Raz na sąsiedni tor wjechał transport z ludźmi w bydłowych wagonach, ale o dziwo, wagony tam były otwarte, ludzie siedzieli w drzwiach na podłodze i machali nogami; nie mieli potrzeby wyglądać przez okienka. W pierwszej chwili wydało się nam, a może tylko mnie, że ponieważ jest już daleko od Stanisławowa, to i nam otworzą wagony, abyśmy w czasie jazdy mogli pokoić nogami. Tamten pociąg zatrzymał się obok naszego i tak staliśmy piętnaście minut. Przez ten czas potrafilismy się zorientować i w "kulawy" sposób dogadać z chwilowymi "sąsiadami", że są Ukraińcami, gdzieś z okolic

Winnicy, i zupełnie dobrowolnie jadą na Syberię, bo tam będą żyć lepiej niż u siebie. Nie umieliśmy tego zrozumieć, że gdzie indziej może być lepiej niż u siebie, ale dość zachłannie łapaliśmy rzucane przez nich w nasze okienka suszone solone rybki; w Stanisławowie nie jadło się takich przysmaków. Dwie lub trzy rybki udało mi się złapać, ale jeść tego nie było można - suche i słone. Mama w pierwszej chwili ucieszyła się z tego nabytku, bo uznała, iż można będzie tymi rybkami solić zupę (bo soli ani krzty nie zabraliśmy ze sobą, nikt o tym nie pomyślał), jaką co drugi dzień próbowała nam na kuchence ugotować. Niestety, ugotowana nazajutrz zupa wcale nie była słona do smaku, a niemile śmierdziała rybą. Co zaś do prób gotowania czegokolwiek na kuchence, to trzeba powiedzieć, iż był to wyczyn nie lada. Pociąg gwałtownie ruszał nie tylko z miejsca, ale i gwałtownie przyspieszał (jak większość towarowych), a wtedy kuchenka przesuwała się do tyłu i wszystkie garnki z niej leciały na podłogę; czasem i płonące szczapy wypadały z paleniska. Trzeba było wyczuć ruch pociągu i w odpowiednim momencie garnek unieść do góry; elastyczność ramion amortyzowała wstrząsy.

Z Woroneża trasa nasza powiodła ostro na północ z lekkim odchyleniem na wschód - wynikało to z obserwacji słońca przez okienko; męska młodzież w naszym wagonie, zwłaszcza Kazik i Staszek Gonek, miała jakieś harcerskie terenowe doświadczenie. Ja miałem ze sobą sfatygowany szkolny atlas geograficzny i gdy tylko udało się komuś odczytać nazwę mijanej większej stacji, zaraz szukaliśmy jej na mapce ZSRR; gdy udało się odnaleźć taką miejscowość na mapie, mieliśmy świadomość tego, gdzie się znajdujemy. Gdy przejechaliśmy przez Bałaszow i Penze, niewielkie wtedy miasteczka, w większości zabudowane drewnianymi domkami, coraz bardziej nabieraliśmy przekonania, iż nie wiozą nas "na białe niedźwiedzie", jak mawiali niektórzy w przypiływie czarnego humoru i nie na Kaukaz, jak niektórym się wydawało, ale że jedziemy w stronę Uralu. Byliśmy jeszcze dość daleko od niego.

Dziesiątego chyba dnia podróży, a więc bodajże 24 kwietnia 1940 roku, około południa następnego dnia po opuszczeniu Penzy zaczęliśmy z wagonowego okienka dostrzegać coraz większe rozlewiska wody. Po godzinie jazdy po obu stronach nasypu kolejowego rozciągały się już ogromne przestrzenie zalane wodą. Pociąg sunął (niezbyt spieszenie) jak gdyby środkiem morza, bo z jednej i drugiej strony woda sięgała horyzontu; gdzieś daleko tu i tam z wody wystawał jakiś las lub lasek. Po następnej godzinie przestrzeń wodna zaczęła maleć, mijaliśmy jakieś osady zanurzone w wodzie, z widocznymi oznakami życia i pracy, minęliśmy dwa lub trzy okrągłe i dość wysokie, pionowo stojące zbiorniki nafty lub benzyny, wokół których woda mieniła się wszystkimi barwami tęczy. Późnym popołudniem zatrzymaliśmy się na stacji **Kujbyszew**. Spojrzenie na mapę pozwoliło ustalić, gdzie się znajdujemy i zrozumieć, skąd tu tyle wody po drodze. Kujbyszew (obecnie znowu Samara, jak przed rewolucją) leży nad meandrem Wołgi, linia kolejowa zaś przechodziła skrawkiem łądu okolonego meandrem, a ponieważ była wiosna i Wołga wylała, więc wody było wszędzie pełno. Na pewno nie była to głęboka woda, bo nasyp kolejowy pokaźnie z niej wystawał, ale przy moim

szczęściem doświadczeniu życiowym zrobiła na mnie niesamowite wrażenie; tyle wody naraz nigdy w życiu nie widziałem.

W Kujbyszewie nie staliśmy zbyt długo; może do staliśmy tam kapiatki i chleb, ale tego nie pamiętam, acz nie jest to wykluczone. Na pewno przed wieczorem pociąg ruszył dalej. Jak się okazało po południu następnego dnia, osiągnęliśmy miejscowość Ufę, stolicę baszkirskiej republiki autonomicznej. Miasto było (i jest nadal) położone malowniczo na stoku dość wysokiego wzgórza, na szczycie którego - ponoć - znajdowało się centrum i nawet jeździły tramwaje, a u stóp biegła linia kolejowa i była stacja, zaś jeszcze niżej płynęła rzeka Ufa, biorąca początek gdzieś na Uralu. Oczywiście o mieście niczego nie jestem w stanie powiedzieć, bo wagonów nam nie otworzono, a po godzinnym postoju na stacji powieziono dalej.

Wieziono nas wyraźnie na wschód. Z Ufy wyjechaliśmy późnym popołudniem dnia 26 (?) kwietnia 1940 r., a następnego dnia przed południem pociąg wyraźnie zmniejszył prędkość - wspiął się na przełęcz Uralską. W południe już wyraźnie czuliśmy, że jesteśmy na Uralu - widać było wzniesienia i doliny, głębokie wąwozy, a przez jakiś czas malownicze koryta rzeki Aj, dopływu rzeki Ural, wijące się w dole wzdłuż linii kolejowej, acz naprawdę było odwrotnie - to linia kolejowa wiała się wzdłuż koryta rzeki. Lekko po południu osiągnęliśmy przełęcz uralską. Po obu stronach toru kolejowego wznosiły się w górę, o kilkanaście - ale nie więcej niż 20-30 metrów wyżej, wciśnięte w grunt kamienie, na których - od dołu, czyli od poziomu linii kolejowej, aż do samego szczytu - widniały różnobarwne wypisane nazwiska różnych osób, które tam były, daty tych wydarzeń oraz nazwy miejscowości, skąd ci ludzie pochodzili. Oczywiście, ludzie ci na pewno byli zupełnie pospolici, a może zupełnie niepoważni, ale te wielobarwne napisy naskalne na 10-latkę, jakim byłem wtedy, robiły wrażenie; pragnąłem wyskoczyć z wagonu i wspiąć się wzwyż bliżej szczytu, aby tam uwieńczyć swoją obecność. Nie było to jednak możliwe - wagon był zamknięty, a pociąg nie przystawał; przez blisko godzinę sunął doliną rzeczki Aj.

Po przekroczeniu przełęcz uralskiej byliśmy pewni, że jesteśmy już w Azji, ale niezbyt mocno o tym przekonani, bo niczego nadzwyczajnego z tym się nie wiąza-

ło - góry były prawie takie same jak po stronie zachodniej. Pociąg tylko biegł nieco szybciej, bo zjeżdżał w dół, a przed wieczorem minęliśmy Złatoust, gdzie na mnie wrażenie zrobiły ognie chyba koksowni albo huty położonej przy torach, i przed zmierzchem dojechaliśmy do Czelabińska; to już bez wątpliwości była Azja - wskazywała na to mapa. Gdzieś w oddali widać było zaczerwienione niebo - to łuny od tamtejszych zakładów przemysłowych, ale o tym nie wiedzieliśmy; dla nas, a nie tylko dla mnie, Czelabińsk był tylko miejscem na mapie - później dopiero dowiedziałem się, że to duży ośrodek przemysłowy. Tam - między innymi - produkowano traktory CzeTeZe-300, z którymi, a właściwie jednym z nich zetknąłem się parę lat później, o czym powiem w odpowiednim miejscu.

W Czelabińsku nie staliśmy długo, ale to wystarczyło do odłączenia od "naszego" transportu paru wagonów i skierowania ich na południe w kierunku Kustanaja, ale wtedy o tym nie wiedzieliśmy; jeszcze przed północą pociąg ruszył dalej na wschód. Na drugi dzień po południu byliśmy już w Kurganie, gdzie postaliśmy raczej dłużej, ale z wagonów nikogo nie wypuszczano, nawet nie dano kapiatki i chleba. Prawdopodobnie w Kurganie odłączono też parę wagonów od "naszego" transportu; w nocy pociąg poturlał się dalej. Już wtedy zdawaliśmy sobie sprawę, że znajdujemy się na linii transsyberyjskiej. Jeszcze przed ranem pociąg zatrzymał się na stacji Lebiażje, drugiej od Kurganu, ale dopiero rano, gdzieś koło siódmej, zorientowaliśmy się, że stoimy. Wysuwając głowy przez okienka stwierdziliśmy, że już nie jedziemy dalej, że pociągu już nie ma i że kilka wagonów, może 4 lub 5, razem z naszym stoi na bocznym torze; główny trzon naszego transportu pojechał dalej trasą transsyberyjską, gdzieś hen, w stronę Omska, Nowosybirsk, Krasnojarska, czy Burnaułu. Wyczuwaliśmy, że oto przed nami stoi nowy etap naszej podróży. Jakoś od razu zgasła w nas nadzieja, że interwencja sojuszników, Francji i Angli, zmusi Sowietów do odwiezienia nas do Stanisławowa; nie zgasła w nas ufność do sojuszników, ale wiedzieliśmy, że tym razem **znowu nie zdążyli** z pomocą tak jak we wrześniu 1939 roku. Nie mieliśmy o to żalu do Francuzów i Anglików - po prostu przestaliśmy, od tego momentu na nich liczyć.

(cdn)

Kościół

- Nasz Stanisławów (cz. I)

ks. Lesław Jeżowski

Tłumacz niemal całkowicie ciążył ku Stanisławowi. Wszak w nim była siedziba województwa, do którego należał powiat tłumacki. Prawie wszystkie miejscowe urzędy, instytucje, organizacje swoje władze zwierzchnie posiadały w Stanisławowie, rzymsko-katolicka parafia tłumacka wchodziła w skład dekanatu stanisławow-

skiego, a dla parafii greko-katolickiej Stanisławów był stolicą diecezji.

Poza tym dla małego, biednego Tłumacza Stanisławów stanowił przedsmak "wielkiego świata". Tam stały okazałe budynki, przebiegały zadbane ulice z eleganckimi sklepami, działały teatry, kina, zespoły muzyczne, kabarety, wabiły renomowane hotele, restauracje, cukiernie, kawiarnie. Do Stanisławowa jeździło się po zakupy wartościowszych towarów, aby obejrzeć wystawy i przedstawienia nie docierające do prowincjonalnych miasteczek. A gdy w Stanisławowie odbywały się jakieś wyjątk-

kowe uroczystości, np. kościelne, kto tylko mógł pielgrzymował na nie z Tłumacza. W podświadomości tłumaczan wytworzyła się swoista symbioza ze Stanisławowem. Tak nieodległym. U mnie też. Dlatego napisawszy sporo w zeszytach o Tłumaczu, chciałbym napisać też o Stanisławowie. Wspominać miłe miasto bliskie naszym młodym sercom.

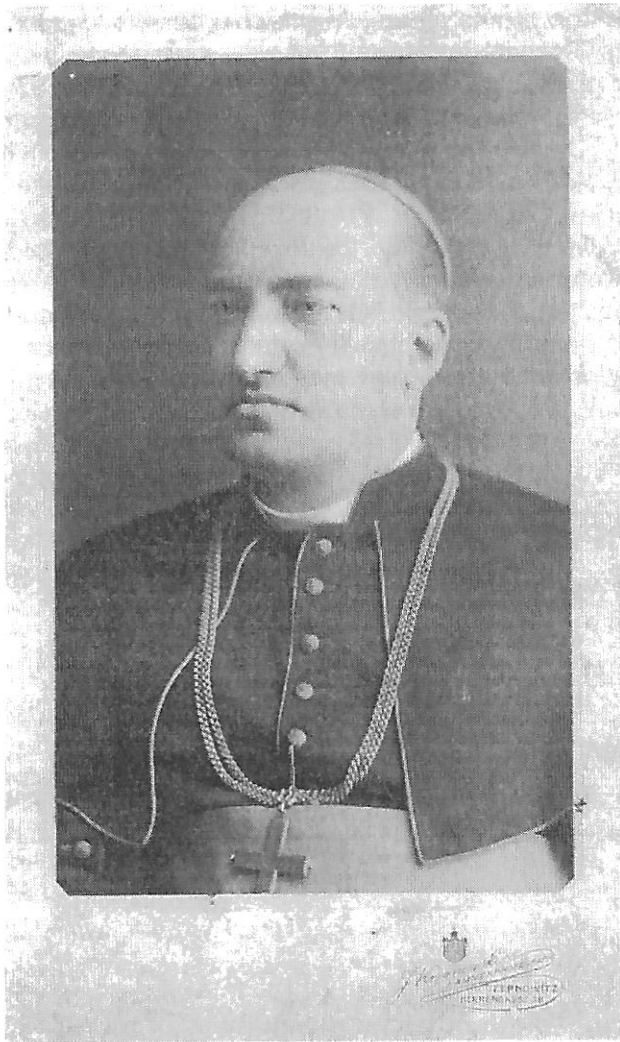
STANISŁAWOWSKIE KOŚCIOŁY.

Gdy patrzy się w jakimś albumie na panoramę Stanisławowa, dominują w niej budowle sakralne. Podobnie, gdy wspomnieniami wraca się do tego miasta, w jego architekturze dostrzega się przede wszystkim kościoły. W latach dwudziestych ubiegłego stulecia nie było ich zbyt wiele. Cztery rzymsko-katolickie, jeden ormiańsko-katolicki, cztery greko-katolickie i jeden ewangelicki.

Razem dziesięć. Poznałem je wszystkie jeszcze jako kilkuletnie dziecko.

Najwcześniej kościół ormiański.

Przyjęło się w Stanisławowie, że do niego uczęszczała tzw. inteligencja. Różnica obrządków nie odgrywała tu żadnej roli. A odmienności narodowej w ogóle nie było. Wywodzący się z Ormian Polacy odznaczali się wielkim patriotyzmem na czele ze swoim arcybiskupem - metropolitą Józefem Teodorowiczem, chlubą Episkopatu Polski. W kościele ormiańskim doznawał wielkiej czci obraz Matki Bożej Łaskawej, przed którym lubili się gromadzić pobożni stanisławowianie i mieszkańcy pobliskich miasteczek, np. Tłumacza, i okolicznych wsi.



Matka Boska Łaskawa z kościoła ormiańskiego w Stanisławowie, obecnie w kościele św. Piotra i Pawła w Gdańsku. (ze zbiorów p. Marii Moszoro)

Piękno świątyni, wspomniany obraz słynący łaskami, kulturalny poziom chodzących do niego wiernych powodowały, że moja Mama na niedzielną Mszę św. wybierała kościół ormiański. Podobnie jak jej bliżsi znajomi szła „do Ormian” bo tak się powszechnie w Stanisławowie mówiło. Zwykle zabierała mnie ze sobą. Tata odznaczający się zmysłem legislacyjnym, nie tylko jako prawnik z wykształcenia, uważał, że jego miejsce jest w kolegiacie łacińskiej. Przecież należeliśmy do obrządku rzymsko-katolickiego, a nie innego. Małemu chłopcu, jakim wówczas byłem, droga z naszego domu do ul. Lipowej do „Ormian” wydawała się długa. Chciałem jak najprędzej znaleźć się przy końcu ulicy, gdzie w gmachu „Warszawy” znajdowały się duże wystawy sklepowe i później patrzeć na inne, już przy Sobieskiego, Gosławskiego i barona Hirscha. bo zwykle tamtędy szliśmy do kościoła. Aby przystanąć przed jakimś sklepem nie było mowy, bo Mama chciała zdążyć przed rozpoczęciem mszy i zająć miejsce w ławce. Przeważnie to się udawało.

Już w przedsionku kościelnym z przyjemnością wąchałem zapach kadzidła, który utrzymywał się w ca-

L. G. Dedykacja ks. Arcybiskupa Józefa Teodorowicza dla Franciszka Tuzienkiewicza z Tłumacza

W dniu 4/II 1916

Dedykacja ks. Arcybiskupa Józefa Teodorowicza dla Franciszka Tuzienkiewicza z Tłumacza (ze zbiorów A. Mieżwińskiej-Korczowskiej)

łym wnętrzu. Uważałem, że w żadnym innym stanisławowskim kościele nie pachniało tak przyjemnie jak tu. Mama zajmowała zawsze miejsce w ławkach po prawej stronie nawy, blisko prezbiterium. Można było tam dotrzeć, idąc po czerwonym chodniku środkiem kościoła albo przejść przez dwie boczne kaplice połączone ze sobą wąskimi przejściami w oddzielających je ścianach. Wolałem tę drugą drogę, bo wtedy przechodziłem przed interesującymi mnie ołtarzami, w których widniały duże obrazy jakby strzeżone przez stojące po ich bokach figury świętych i mogłem sam jeden przejść miedzykaplicznym otworem. Mama musiała wtedy wypuścić ze swojej moją rękę. W ławce sadzała mnie obok siebie, gdy miejsce było wolne. Ale zwykle długo go nie zajmowałem, bo skoro zobaczyła kogoś starszego, który przyszedł później i musiał stać, kazała mi podejść do niego i poprosić, aby usiadł na opróżnionym przede mną miejscu. A ja musiałem stać obok ławki.

Wnętrze kościoła zawsze mnie zaciękało. Za każdym razem, ilekroć się w nim znalazłem. Przede wszystkim patrzyłem na dużą pociągniętą popielatą olejną farbą figurę naturalnej wielkości starego człowieka umieszczoną przed prezbiterium, na posadzce w pobliżu ambony. Długie włosy i broda okalały jego twarz. Za całe okrycie miał krótką, postrzępioną szatę nie sięgającą kolan, bez rękawów; a może to nie była tkanina lecz jakieś gałęzie z listowiem? Ręce wygiął w dramatycznym geście, głowę trochę wykrzywił, odnosząc ją do góry, zamknął oczy. Kim on był, tak niepodobny do świętych, oglądany przede mną na obrazach i figurach? Mama nie potrafiła mi na to pytanie dokładnie odpowiedzieć. Zapewne jakiś pustelnik.

Siedząc lub stojąc z upodobaniem patrzyłem na lewo i w górę, bo tam była ambona. Nigdzie takiej nie widziałem. Nie z kamienia lub drewna. Ale jakby upleciona z metalowych srebrzystych gałązek pokrytych drobnymi liśćmi i kwiatami. Przez nie była widoczna tkanina opinająca całe wnętrze ambony, przyczepiona do żelaznej konstrukcji. Przeważnie materiał miał kolor niebieski, ale w pewnych okresach roku kościelnego zmieniał się na złocisty lub czerwony. Ponieważ Mama chodziła ze mną zawsze na sumę o wpół do jedenastej, na ambonie pojawiał się ks. Komusiewicz, proboszcz, celebrujący tę mszę. Rozumiałem poszczególne zdania kazań, ale nie łączyłem ich treści w jedną całość. Dlatego nudziłem się wolałem patrzeć przed siebie lub na sklepienie całe pokryte barwnymi malowidłami. Widziałem tam postacie Matki Bożej i aniołów, jakieś kolumny, fragmenty świątyń; zapewne malarz chciał przedstawić sceny z życia Patronki kościoła, ale ja byłem za mały, aby je zidentyfikować.

Główny ołtarz nie był okazały do 1937 r. Składał się z męsy i wiszącego nad nią dosyć małego obrazu M.B. Łaskawej po którego bokach znajdowały się witryny z wotami. Obraz ten bardzo przypominał częstochowski. Powyżej widniała dużych rozmiarów kopia Wniebowzięcia pędzla Murilla. Matka Boża niebieskobiąła stała ze złożonymi rękami na obłokach. Jeszcze wyżej, pod oknem u stropu kościoła wisiał okrągły obraz w bardzo szerokich, barokowych ramach, a na nim Bóg Ojciec, ale przedstawiony tylko od połowy. Obok Niego i pod Nim głowy aniołów. Wszyscy lecieli gdzieś razem na chmu-

rze. Odprawiając przy tym ołtarzu Mszę św., ks. Komusiewicz używał niezrozumiałego dla mnie języka armeńskiego. Ale wszystkie modlitwy poza mszą odmawiał po polsku.

Największe wrażenie słuchowe wywierały na mnie organy. Lubilem słuchać nie tyle akompaniamentu do zbiorowego śpiewu, co bezsłownych preludów wykonywanych na górnych rejestrach instrumentu. Zdarzało się, że chcąc się podzielić z Mamą swymi muzycznymi doznaniem, przeszkadzałem jej w modlitwie i pytałem: Prawda jak ten pan pięknie gra? Mama, nie odrywając oczu od otwartej książeczki do nabożeństwa, chętnie mi potakiwała. Wyobrażałem sobie, że niewidoczny z dołu organista musi być pięknym mężczyzną, wysokim, szczupłym, o niebieskich oczach i złocistych włosach, jakby aniołem. Gdy go pierwszy raz zobaczyłem, rozczarowałem się. Był średniego wzrostu, włosy miał ciemne, rzadkie i "przylizane", raczej brzydki i na dobitkę bez jednego oka. Oczodół zasłaniała czarna przepaska umocowana na głowie sznurkiem. Chodził jakoś niezgrabnie. Szybko, ale jakby jedną nogę powłóczył. Ubierał długi płaszcz.

Z ławki, w której zwykle siedziałem widziałem też obydwie strony transeptu kościoła. W prawej, w ołtarzu był jeszcze jeden obraz Matki Bożej, zwany Trynitarą. Nazwa wzięła się stąd, że do XIX wieku znajdował się w kościele trynitarzy zlikwidowanym za czasów cesarza Józefa II. Po kasacie klasztoru, którego wspomnieniem był stanisławowski plac Trynitarzy, obraz umieszczono u Ormian. Jego cechą charakterystyczną stanowiła ko-



Kościół Ormiański (barok 1743-62) w Stanisławowie

fol. Marek Rogalski

rona na głowie Maryi naśladowująca koronę Rudolfa II i rozkwitły goździk w ręce Matki Bożej. W tej części transeptu urządzano w Wielki Piątek Grób Pański. On najbardziej się mi podobał z pozostałych w mieście, bo wśród obfitej zieleni stały klatki ze śpiewającymi kanarkami, a przed grobową grota szemrał, błyszczący w świetle lamp, wodotrysk.

Na zewnątrz kościół prezentował się mniej nobliwie jak wewnątrz. Zbudowany był w kształcie łacińskiego krzyża, co się jednak niezbyt rzucało w oczy, bo jego ramię poprzeczne uwydatniało się dopiero powyżej nawy. Ściany ożywiały pilastry z jońskimi kapitelami, występujące również na dwóch trójkondygnacyjnych wieżach, które wieńczyły gruszkowate hełmy. Wklęsła ściana frontowa wsuwała się między wieże, dając u dołu miejsce bramie wejściowej ozdobionej dwiema kolumnami z naczułkami. Tą bramą wychodziliśmy po Mszy św. na ulicę. Często Mama spotykała tu swoje znajome panie, z którymi wdawała się w rozmowę. Ja ciągnąłem ją da-

lej, bo wiedziałem, że po drodze do domu wstąpimy na ciastka i wodę sodową z sokiem do cukierni Staffa na rogu ulicy Gosławskiego i Placu Mickiewicza, gdzie były wyśmienite ciastka francuskie z kremem, za którymi przepadałem.

Dopiero później, już w latach gimnazjalnych, zdałem sobie sprawę, że nie tylko w moim dawnym dziecięcym odczuciu, ale rzeczywiście, kościół ormiański był najpiękniejszy w Stanisławowie. Nieprzeładowany barok z monumentalnymi detalami, pełen harmonii, szlachetny w wystroju, wyzbyty wszelkiej tandety. Szczyty wytwornego smaku z jakim był urządzony miał osiągnąć w 1937 r. gdy odbyła się koronacja przechowywanego w nim wizerunku M.B. Łaskawej. Koronacja najokazalsza, najuroczystsza ze wszystkich dwunastu odbytych w Polsce międzywojennej. Wtedy to ks. Komusiewicz uczynił ze swego kościoła naprawdę sakralny przybytek Stanisławowa.

(c.d.n.)

Odnalezieni Tłumaczanie

W stałym poszukiwaniu materiałów do naszego czasopisma, niezmiernie cieszą nas nieoczekiwane spotkania z „nowymi” Tłumaczanami.

Znajdujemy ich całkiem przypadkowo; np. w czasopiśmie Stowarzyszenia „Rodzin Katyńskich”, „Rodowód” - skąd pochodzi artykuł „Ojciec”.

Bardzo miłe są też spotkania osobiste !

Danuta Tabińska-Juhasz

Ojciec

Janusz Kłopotowski

Michał Kłopotowski, urodził się 20 września 1894 roku w Tłumaczu w Małopolsce w rodzinie oficjalisty Franciszka i Rozalii Pawłowskich. Jego rodzice mieli jeszcze jedno dziecko - córkę. W 1906 roku ukończył czwartą klasę szkoły powszechnej w Tłumaczu, a w 1907 rozpoczął naukę w ośmioklasowym gimnazjum klasycznym w Stanisławowie. Trzeciego czerwca 1912 zdał egzamin dojrzałości.

Według opinii kolegów i własnej oceny był wyraznym humanistą. Tylko warunki wojenne i przeżycia z tego okresu spowodowały pozostanie w wojsku jako oficer zawodowy. Był typowym przedstawicielem polskiej inteligencji, tej najliczniejszej warstwy średniej.

W 1914 roku został zmobilizowany do armii austriackiej, skąd zdezerterował do 2. Brygady Legionów (wrzesień - październik 1914). W 9 kompanii drugiego pułku piechoty brał udział w kampanii karpackiej, bukowińskiej i besarabskiej (kapral jednoroczny). Po kontuzji w listopadzie 1915 roku dostał się do niewoli rosyjskiej, gdzie w obozie w Omsku na Syberii przebywał do 1918 roku. Przy wydatnej pomocy syberyjskiej Polonii (cywilne ubranie) wyszedł z obozu.

Wstąpił do polskich oddziałów pod dowództwem majora Waleriana Czumy. Był już w stopniu starszego aspiranta. W wyniku sytuacji na froncie nie należy do grupy demobilizujących, lecz wyjeżdża do Chabrina, gdzie dalej walczy z bolszewikami. Zachował się dokument z tamtych czasów.

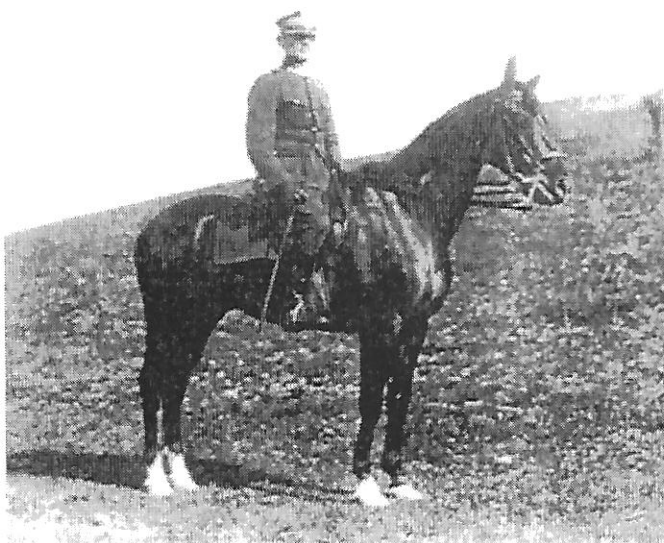
Jak to zwykle bywało, Polacy są ostatnimi aliantami, którzy osłaniają odwrót i ewakuację Anglików, Francuzów, Czechów. Z Władywostoku, już ostatnim angielskim statkiem, opuszcza Syberię. Statek był z brzegu ostrzeliwany przez bolszewików. Przez Chiny, Japonię, Singapur (gdzie statek musiał przejść remont) i Kanał Sueski przepłynął do Gdańska. W lipcu 1920 roku został przydzielony do 18. Pułku Ułanów Pomorskich w Toruniu jako dowódca plutonu.

Z początkiem czerwca pułk wyruszył na front. We wrześniu walczył w grupie gen. Junga w okolicach Nowego Dworu koło Puszczy Białowieskiej. W lesie pod wioską Krzesły (rejon Wołkowysk) Ojciec, jako dowódca Straży Pułku, napotkał oddziały bolszewików. Chcąc zapewnić czas na zorganizowanie szyku bojowego pułku, zdecydował się szarżować nieprzyjaciela, powodując panikę w jego szeregach. W tej szarży został ciężko ranny w rękę. Nie pozwolił na amputację ręki w warunkach polowych, lecz na usilne swe żądanie, został przewieziony do szpitala w Krakowie, gdzie dr Wojanowski ją wyleczył, tak że później Ojciec nią władał bez żadnych trudności. Jestem w posiadaniu rozkazu pochwalnego gen. Junga. Za działania wojenne Ojciec otrzymał Krzyż Virtuti Militari V klasy i dwukrotnie Krzyż Walecznych oraz dwa medale francuskie.

Po wojnie pozostał jako podporucznik w 18. Pułku Ułanów. Po moim urodzeniu pułk przeniesiono z Torunia do Grudziądza. W pułku awansował na porucznika, a w marcu otrzymał stopień rotmistrza.

W styczniu 1925 roku zawarł związek małżeński z moją Matką Zofią z domu Lekrzycką. W maju 1928 roku

Ojciec został przeniesiony do 2. Pułku Ułanów Grochowskich do Suwałk jako dowódca 4. szwadronu. Wtedy odezwały się ciągoty naukowe i w 1930 roku zdał konkursowy egzamin, rozpoczynając studia w Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie. Po ukończeniu WSW, jako oficer dyplomowany, został pierwszym oficerem w sztabie 10. Brygady Kawalerii w Białymstoku.. Prawdopodobnie nie za dobrze układały się stosunki z dowódcą brygady pułkownikiem Kmicic-Skrzyńskim i z tego powodu został przeniesiony do sztabu 6. Brygady Kawalerii w Stanisławowie na stanowisko szefa sztabu. Tam, po bardzo dobrej opinii dowódcy brygady pułkownika Kleberga, w 1936 roku otrzymał awans na majora, wchodząc do grupy wyższych oficerów. Pamiętam przyjęcie z tej okazji. Było wielu oficerów - wszyscy dowódcy pułków brygady. Był między innymi pułkownik Tadeusz Komorowski, późniejszy Bór w AK.



18 Pułk Ułanów, Grudziądz 1926 r.

W 1937 roku przeniesiono Ojca do Warszawy, gdzie był wykładowcą w Wyższej Szkole Wojennej. Jak to było ustalone w wojskowych zasadach, oficer będący poza służbą liniową, musiał po trzech latach wracać do pułku. I tak już w 1939 roku byliśmy przygotowani na wyjazd z Warszawy. Był rozpatrywany Łañcut, ale tam pułk był już zmotoryzowany, a Ojciec nie przepadał za samochodami. Przymierzał się do Płocka, do 4. Pułku Strzelców Konnych. Plany te pokrzyżowała wojna. W marcu 1939 roku powołano go do sztabu Armii Kraków.

Po rozpoczęciu wojny i najeździe bolszewików cieszyliśmy się z Matką, że Ojciec nie będzie na wschodzie. Okazało się jednak, że Armia Kraków wycofała się na wschód i tam właśnie wielu jej żołnierzy dostało się do niewoli sowieckiej. Mieliśmy wiadomości (nie pamiętam od kogo), że proponowano Ojcu cywilne ubranie i ucieczkę, ale Ojciec nie skorzystał z tej okazji, bo uważał, że nie może zdjąć munduru. Dostał się do niewoli i był jeńcem w Starobielsku. Dostaliśmy dwie kartki z obozu, z których jedną Matka zniszczyła.

Wyjątkowym zbiegiem okoliczności trafiliśmy na wzmiankę o Ojcu w książce J. Czapskiego "Na nieludzkiej ziemi". Dowiedzieliśmy się z niej o ostatnich chwila-

ch życia Ojca (str. 34-36). Nawiązałem krótki kontakt z p. Czapskim we Francji.

Otrzymałem list pisany, niestety pod jego dyktando, gdyż już wtedy tracił wzrok. Do dziś żałuję, że nie pojechałem do Paryża, pomimo namowy ze strony mojej żony. Ojciec został zamordowany w wieku 46 lat.

Z Ojcem byłem bardzo zżyty. Wpajał we mnie poczucie wielkiego patriotyzmu, szacunku dla innych i dla siebie. Miałem żal, że nie pozwolił mi iść do korpusu kadetów po skończeniu szkoły powszechnej, ale stwierdził, że jeden wojskowy w rodzinie to już wystarczy...

Dla scharakteryzowania Jego sposobów wychowawczych podam kilka przykładów postępowania i więzi między nami. W Stanisławowie uczyliśmy się w szkole języka ukraińskiego. Jedna z ciotek i Matka uznały, że za kilka lat wyjeżdżamy, więc po co nam się uczyć tego języka. Dla spokoju w domu mój Ojciec pojechał w tej sprawie do dyrektora szkoły. Rozsądny dyrektor spytał, czy znajomość innego języka będzie mi przeszkadzać. Jeśli jest podobny do rosyjskiego (pisownia), to czy rzeczywiście będzie obciążeniem. Ojciec uznał racje dyrektora i do dziś pamiętam ukraińskie wiersze.

Któregoś roku dowództwo brygady zaprosiło delegację armii rumuńskiej. Na dworcu czekał pułkownik J. Kleberg, który był wzrostu średniego, Ojciec również, a dowódca 6. Pułku był drobny i niski. Z pociągu wyszedł generał rumuński i jego adiutant - chłopcy prawie dwumetrowe. Ojciec nie wytrzymał i namówił pułkownika, żeby przedłużał powitanie, a sam przez telefon kolejowy polecił, aby w koszarach plutonem wartowniczym był pierwszy pluton pierwszego szwadronu, w którym służyli najwyżsi ułani. Na dowódcę zaproponował porucznika o wzroście dwa metry piętnaście centymetrów. Porucznika szukano na mieście bo nie miał wówczas służby. Po takim rozkazie w pułku uznano, że major Kłopotowski pewno zwariował. Do koszar przyjechano powozami. „Warta pod broń!” Z wartowni wysypał się oddział olbrzymów w długich płaszczach. Odbierając raport, rumuński generał zadzierał głowę. Ojciec był usatysfakcjonowany. Dopiero po kolacji w naszym domu, wyjaśnił oficerom sens tego działania.

Po ukończeniu szkoły powszechnej miałem zdawać do gimnazjum. Ciotki i Matka ustaliły, że będę chodził do gimnazjum prywatnego... Ojciec zaproponował mi, żebym zdawał do normalnego, państwowego gimnazjum, bo chce, żebym wyrósł na normalnego człowieka. Jeśli nie zdam, to będę chodził do prywatnego. Był to w owym czasie jedyny - na szczęście krótki - okres, kiedy naprawdę się uczyłem. Oczywiście zdałem do VII Państwowego Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Warszawie. Po zdaniu do gimnazjum dostałem zegarek. Był nieduży i koledzy stwierdzili, że to „babski” zegarek. Matka uznała to oczywiście za fanaberię, ale Ojciec mrugnął i poszliśmy do zegarmistrza i zamieniliśmy zegarek na dużą „cebulkę” firmy Doxa, który miał mi wystarczyć do matury. Przetwał wojnę i moje studia na politechnice.

Taki był mój Ojciec - kochany przeze mnie, szanowany przez ludzi, kochający ojczyznę i mundur żołnierza.

Od redakcji:

Nam sprawił zaszczyt, że pochodził z Tłumacza.

Dawna koleżanka

W październikowy poranek w słuchawce mego telefonu zabrzmiał głos o miłym wschodnim akcencie. Przedstawiła się Zosia Jurczak z Tłumacza (rocznik 1928).

Numer mego telefonu otrzymała od swojej kuzynki Joasi Wasyłyszyn-Nowickiej z Tłumacza. We Wrocławiu była Zosia tylko przejazdem u swojej tu mieszkającej siostry (rocznik 1921). Wprawdzie nie udało nam się spotkać osobiście, czego obie bardzo żałujemy. Dwie długie rozmowy telefoniczne oraz list od niej ze zdjęciem zuchów z Tłumacza narazie musiały nam wystarczać.

Zosia mieszka na Ukrainie koło malowniczego Jaremca. Jest emerytowaną nauczycielką. Podziwiałam jej poprawną polszczyznę w mowie i piśmie oraz wspinała pamięć. Na przysłanym grupowym zdjęciu zuchów z 1937 roku na dwadzieścia cztery osoby wymieniła z imienia i nazwiska 80% koleżanek. Chciałaby bardzo dowiedzieć się o ich losie i nawiązać kontakty.

Przytoczę fragment jej listu: „Chciałabym się dowiedzieć o losach koleżanek i naszych nauczycieli. Pani Maceko-

wej zawdzięczam to, że zostałam nauczycielką. Zawsze wspominam jak gładziła mnie po głowie taką pulchną, wypieszczoną ręką z pierścionkiem złotym z niebieskim oczkiem. Z jej synem Rysiem (takim ślicznym chłopcem) tańczyłam w Sokole na pierwszym, zresztą i ostatnim balu kotylionowym, który urządzili dzieciom nauczyciele z rodzicami przed samym wybuchem wojny”.

Tu nasuwa się refleksja, że pomimo upływu 64 lat uczestnicy tego balu, obojętnie w jakim kraju przyszło im żyć, wspominają go z rozrzewnieniem, stwierdzając że był to nie tylko pierwszy, ale z czasem i ostatni bal w ich życiu!

Młodzież była przebrana w różne stroje: krynoliny, kontusze szlacheckie, mundury dawnych wojsk oraz przedstawiała różne kwiaty. Uczono nas poloneza, lansjera i innych dawnych salonowych tańców. Śpiewaliśmy też kuplety, ułożone na każdego nauczyciela. Pomyśleć ile trudu i czasu musieli poświęcić nasi nauczyciele na organizowanie takiego balu. Chwała Im za to gdyż przez tyle lat towarzyszą nam wszystkim te piękne wspomnienia i naszej Zosi też na Ukrainie. Kto jeszcze ją pamięta, a rozpoznał się na zdjęciu, prosimy napisać do redakcji „Zeszyty Tłumackie”
D.T.



Drużyna zuchów z Tłumacza rok 1937

Nad wszystkimi góruje drużynowa Antonina Czochora - „Toncia”

I rząd od lewej:

Krystyna Bajczuk, Zosia Burczykka, Maria Laner, Kaletówna, Mila Kaczorowska, Maria Koczwarą
dwie poniżej: Stanisława Sołtyk, Masiewicz,

II rząd od lewej:

Stasia Piotrowicz, Rusyniak, Mira Seidler, Cesia Mandyna, **Zosia Jurczak**, Krzysia Matejko, Ala Żurawska, Joasia Wasyłyszyn.

III rząd - siedzą od lewej:

Irka Zasławska, Irena Bilińska, Leokadia Hirschmiller, Luka Bilińska, Dziusia Olejnicka, Stasia Dusza, Urszula Łochaza.

Listy

Szanowna Redakcjo!

Bardzo proszę o opublikowanie w Zeszytach Tłumackich załączonego pisma z Archiwum Polski Podziemnej.

Ojciec mój Leon Kochański przez cały czas swojej działalności konspiracyjnej rezydował w Tłumaczu, a dokładnie do końca marca 1944 roku, kiedy to z kierownictwem AK Okręgu Stanisławów został ewakuowany do Czerniowiec.

Wojna rodzinę naszą rozrzuciła po świecie i nie mieliśmy z ojcem kontaktu. A gdy po wojnie powróciliśmy, Ojciec już nie żył. Tak więc nie poznaliśmy jego wojennej historii. Dopiero po wielu latach odnaleziony

przypadkowo list Ojca nasunął przypuszczenie, że ojciec działał w strukturach Armii Krajowej. Wtedy rozpoczęłam poszukiwania dowodów w archiwach krajowych i zagranicznych oraz w różnych publikacjach. Załączone pismo z Archiwum Polski Podziemnej jest uwieńczeniem moich kilkuletnich wytrwałych poszukiwań.

Wydaje mi się, że wspomnienie o Ojcu powinno zostać utrwalone na łamach Zeszytów Tłumackich i dlatego wierzę, że Redakcja przychyli się do mojej prośby i opublikuje wspomniane pismo. Tym bardziej, że poszerzy ono wiedzę o działalności AK na terenie Tłumacza.

Łączę serdeczne pozdrowienia

Janina Reich

Z Archiwum Polski Podziemnej 1939-1956

Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej,
ul. Skazańców 25, 01-783 Warszawa 86, skr. poczt. 106,
tel./fax (022) 839 95 79



Szanowna Pani

W publikacji Grzegorza Mazura i Jerzego Węsierskiego „Konspiracja lwowska 1939 - 1944”. Słownik biograficzny (Wydawnictwo UNIA, Katowice 1997) na str. 245 zamieszczone zostały podstawowe informacje biograficzne nieznanego z nazwiska kpr. art. mgr praw używającego pseudonim „Geniek”, „Hugo” („Hugon”) i „Marian Puls”, przed wojną starosty i naczelnika Wydziału Urzędu Wojewódzkiego w Stanisławowie, który od połowy 1942 do września 1943r. był szefem (kierownikiem) ekspozytury Wydziału IX (administracji zmilitaryzowanej) sztabu Komendy Okręgu Stanisławów Armii Krajowej, następnie kierownikiem Wydziału Ochrony Pracy w Okręgowej Delegaturze Rządu RP we Lwowie (przywołana w tym miejscu jako źródło książka Waldemara Grabkowskiego to monografia

Waldemara Grabkowskiego „Delegatura Rządu Rzeczpospolitej Polskiej na Kraj”, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1995, s. 162, tam NN „Hugon”), zaś w lipcu 1944 r. został wyznaczony na stanowisko zastępcy wojewody stanisławowskiego.

W świetle przedstawionych przez Panią materiałów źródłowych nie ulega wątpliwości, iż informacje dotyczące Pani Ojca, Leona Kocharńskiego, ur. 17 kwietnia 1887 r. w Bolechowie, starosty i sekretarza Województwa Stanisławowskiego, mgr. praw Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (8 czerwca 1928 r.), kierownika Wydziału Administracyjno - Prawnego Urzędu Wojewódzkiego w Stanisławowie od 16 lutego 1932 r., kierownika Oddziału Administracyjnego tamże od 17 stycznia 1935r., więzionego przez władze sowieckie od maja 1940 do marca 1941 r. Ponownie aresztowany w listopadzie 1944 r., w marcu 1945 r. został on zwolniony z więzienia w Tłumaczu i zmarł 10 kwietnia 1945 r. w Stanisławowie.

Łączę wyrazy szacunku

dr Andrzej Krzysztof Kunert
dyrektor Archiwum

Patrząc na stare fotografie...

Stanisław Pelikan

W mich zbiorach przechowuję skrzętnie, przez dziesiątki lat stare fotografie, niektóre z nich już bardziej lub mniej wyblakłe.

Fotografie i utrwalone na nich postacie i wydarzenia, to powroty w lata minione niekiedy zagubione już w pamięci, ale odżywające kiedy patrzy się na nie, czasami już wyblakłe...

Na jednej z nich, z lat trzydziestych jest grupa uczniów szkoły męskiej w Tyśmienicy z kilku klas z grobem nauczycielskim, z dyrektorem szkoły. Fotografia ta ma swoją historię. Ofiarował mi ją w czasie wojny mój



serdeczny przyjaciel Franciszek Stępniewski, który jak i ja znajduje się na zdjęciu. Siedzi on w pierwszy rządzie, a jego postać oznaczona na dole literą „N” skreślona ręką jego matki.

Na odwrocie kilka słów też napisanych przez matkę: „Kochany Michasiu! Żebyś nie zgubił nigdzie tej Nusia fotografii i świadectwa, bo to pamiątka szkolna, kiedyś może będą mu potrzebne. W drugim liście pošlemy ci naszą fotografię z Nusiem”.

Fotografię tę przesłała matka mojego przyjaciela do męża w Argentynie, który wyjechał tam w poszukiwaniu pracy. Pracował ciężko przy budowie linii kolejowej. Tuż przed wojną powrócił.

Los sprawił, że my obydwaj z Frankiem cały czas w czasie okupacji pracowaliśmy jako robotnicy przy naprawie i utrzymaniu torów kolejowych na odcinku Tyśmienica - Chryplin. Była to bardzo ciężka praca! Kiedy nieraz, w czasie upalnego lata wracaliśmy z pracy i w domu Franka utyskiwaliśmy na nasz ciężki trud, ojciec jego wspominał wówczas, acz niechętnie, o swojej pracy na torach pod gorącym niebem Argentyny.

Nie żyją już bardzo wiele lat rodzice Franka, on sam od lat kilkunastu pochowany jest na cmentarzu. Był w randze pułkownika Naczelnym Redaktorem Wydawnictwa MON.

Dziś patrząc na dziecięce twarze moich przyjaciół i kolegów, z których nie wielu pozostało i na tych którzy nas wychowali, uczyli i wprowadzali w życie, wracam wspomnieniami w minione lata, a w myślach wracają skreślone troskliwą ręką matki Franka, słowa „...może kiedyś będą mu potrzebne...”

Apel o dane do słownika biograficznego Pokucia

Drodzy Tłumaczenie i Pokucianie!

Ocalenie od zapomnienia naszej kresowej przeszłości jest naszym obowiązkiem i powinnością. Od kilkunastu już lat staram się to czynić, działając w Towarzystwie Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Pokucie, „mała ojczyzna” moich kresowych przodków, była i jest cudowną krainą stworzoną nie tylko przez przyrodę

ale i przez różne narody, kultury i wyznania. Jej bogactwo stworzyli ludzie, których dziś nikt już nie wspomina. W tym celu zbieram materiały do Słownika biograficznego Kołomyi i Pokucia, obejmującego dawne powiaty: Kołomyja, Horodenka, Śniatyn, Kosów, Nadwórna i Tłumacz.

Poniżej podaję nazwiska Żołnierzy - Ochotników Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, pochodzących z Tłumacza i powiatu tłumackiego. W jaki sposób dostali się PSZ na Zachodzie: przez granicę rumuńską czy węgierską, a może jako deportowani na wschód? To jedno z pytań, na które nie znam odpowiedzi. Szukam też odpowiedzi na pytania 2, 3, 4, 8, 9 jakie znajdą państwo w ankiecie podanej na końcu. Przykładowe biogramy na podstawie literatury ukazują jak niewiele można znaleźć. Mam nadzieję, że dzięki Państwu, uda się uzupełnić poniższe dane oraz ocalić od zapomnienia także Żołnierzy - Ochotników z PSZ, którzy przeżyli wojnę. Będę wdzięczna za każdą informację i wskazanie żyjącej rodziny wymienionych Tłumaczan. Dzisiaj każda najdrobniejsza informacja jest bezcenna. Korespondencję proszę kierować na adres:

Bożena Krupska, ul. Jelenia 10/31, 54-242 Wrocław

Tłumacz i powiat tłumacki

BALAWENDER ANTONI

(01.06.1897 Chorosno - 01.11.1942 Irak) - starszy strzelec Armii Polskiej gen. Andersa na Wschodzie, pochowany na brytyjskim cmentarzu wojskowym w Khanaqin w Iraku, gr. 2-E-2

Księga pochowanych... -Wykaz poległych...

BIEŃ FRANCISZEK

(19.05.1919 Uhorniki - 27.07.1944 Włochy)

BIERNACKI JÓZEF

(19.03.1910 Tłumacz - 23.08.1942 Irak)

DWOJAK WŁADYSŁAW

(25.08.1922 Okniany - 16.05.1944 Monte Cassino) - strzelec 2 Korpusu Polskiego gen. Wł. Andersa, poległ pod Monte Cassino we Włoszech i tam został pochowany na polskim cmentarzu wojskowym.

Księga pochowanych. -Wańkowicz M., Bitwa, s. 571.

DZIKOŃSKI BŁAŻEJ

(07.03.1899 Pszeniczniki - 25.12.1944 Włochy)

FURMANEK STANISŁAW

(14.12.1928 Zagórze Polskie k. Hostowa - 13.10.1942 Irak)

GACEK MATEUSZ

(23.12.1918 Tarnowica Polna - 01.09.1945 Niemcy)

GREGORCZYK MICHAŁ

(00.00.1892 Horyhlandy - 21.03.1942 Uzbecka SRR)

JABŁOŃSKI ADAM

(00.00.1911 Nadorożna - 28.05.1942 Uzbecka SRR)

JAKUBOWICZ JAN

(02.01.1921 Jezierzany - 09.08.1944 Francja)

JANICKI MIECZYŚLAW

(13.07.1906 Pszeniczniki - 17.09.1944 Szkocja)

KACZOROWSKI KAZIMIERZ

(24.04.1923 Tłumacz - 06.11.1942 Irak)

KARMELITA MICHAŁ

(13.01.1918 Zakrzewce - 15.04.1942 Irak)

KARMELITA PIOTR

(02.11.1919 Zakrzewce - 27.03.1942 Kazachska SRR)

KINASZ PIOTR

(05.07.1900 Mołodyłów - 28.02.1946 Egipt)

KŁAPKOWSKA BRONISŁAWA

(21.01.1924 Tłumacz - 25.09.1942 Irak)

KOŁT JÓZEF

(00.00.1899 Tarnowica Polna - 15.08.1942 Uzbecka SRR)

KOPYTKO MICHAŁ

(28.08.1919 Puźniki - 27.04.1944 Monte Cassino)

KOWALSKI WACŁAW

(05.02.1924 Korolówka - 01.08.1946 Włochy)

KRUK BRONISŁAW

(10.02.1922 Tarnowica Polna - 16.06.1943 Irak)

LEŚNIAK JÓZEF

(08.10.1923 Polska Wola - 14.08.1944 Francja)

LEŚNIAK KAZIMIERZ

(08.08.1921 Ottynia - 08.10.1942 Atlantyk)

LUTY MARCIN

(11.11.1918 Tarnowica Polna - 29.09.1942 Turkmeńska SRR)

MIESZCANIN STEFAN

(07.01.1915 Niżniów - 03.10.1944 Holandia)

NOWAK BOLESŁAW

(25.10.1925 Markowce - 09.08.1944 Francja)

NOWAK KAROL

(08.01.1898 Hołosków - 12.08.1945 Włochy)

OSADCÓW PIOTR

(12.07.1920 Ottynia - 31.12.1940 Egipt)

PEREGINIEC MICHAŁ

(13.08.1901 Winograd - 22.03.1942 Kazachska SRR)

PIOTROWSKI MICHAŁ

(14.12.1913 Uhorniki - 21.08.1944 Włochy)

PROKOPCZUK MICHAŁ

(22.11.1918 Horyhlady - 03.11.1944 Holandia)

REMSKI JAN

(10.04.1922 Roszniów - 17.07.1944 Włochy)

SKOP (SKOD) JÓZEF
(01.11.1922 Głębocka - 08.10.1943 Atlantyki)

SŁOWIK TADEUSZ
(30.03.1920 Hołosków - 20.05.1945 Włochy)

STOJEWSKI-RYBCZYŃSKI JÓZEF EDWARD WALERIAN
(27.06.1899 Tłumacz - 17.05.1944 Monte Cassino) - major artylerii 1 pal 3 Dywizji Strzelców Karpackich gen. B. Duchy 2 Korpusu Polskiego gen. W. Andersa zwany przez żołnierzy „Józku”, uczestniczył w walkach nad rzeką Sangro, poległ podczas natarcia na wzgórze 593 w bitwie o Monte Cassino, ochotniczo zastępując poległego ppłk. Karola Fanslaua dowódcę 4 batalionu DSK; odznaczony pośmiertnie Krzyżem Srebrnym VM V klasy (nr 8893).

Księga pochowanych - Polski czyn zbrojny - Łukomski G., Polak B., Suchcic A., Kawalerowie Virtuti Militari 1792-1945 Wykazy - Pismo z Ministry of Defence w Hayes z dn. 11.09.2000 - Pismo z Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie z dn. 13.09.2000.

STRUTYŃSKI WŁADYSŁAW
(29.09.1901 Ottynia - 01.03.1941 Szkocja)

SYPOSZ MARCIN

(10.10.1919 Tarnowica Polna 08.05.1944 Monte Cassino)

SZAFRAN JÓZEF
(22.12.1920 Hołosków - 12.05.1944 Monte Cassino)

SZAFRAN KAROL
(28.05.1905 Hołosków - 22.05.1944 Monte Cassino)

SZYMAŃSKI JAN
(25.02.1909 Hołosków - 03.05.1944 Monte Cassino)

WISZNIEWSKI JAN LEONARD MARIA
(21.01.1908 Horyhlady - 09.08.1941 Niemcy)

WYSZKOWSKI KAZIMIERZ
(20.09.1909 Uhorniki - 19.04.1943 Palestyna)

ZALEWSKI MICHAŁ
(20.04.1922 Tłumacz Pazurki - 26.03.1942 Rosyjska SRR) - deportowany przez NKWD w głąb ZSRR; starszy sierżant Armii Polskiej gen. W. Andersa w ZSRR, pochowany na cmentarzu Wysokoje w Rosyjskiej SRR (ob. Federacja Rosyjska).

Księga pochowanych - Polski czyn zbrojny.

Ankieta do Słownika Biograficznego Kołomyi i Pokucia

1. Nazwisko i imiona (pseudonim, przydomek, herb), data i miejsce urodzenia oraz zgonu (miejsce pochowania).
2. Rodzina: imiona rodziców, nazwisko rodowe matki, zawód ojca (gdzie mieszkali, skąd pochodzili); imię i nazwisko żony (męża), data i miejsce zawarcia małżeństwa, zawód żony (męża); imiona dzieci, rok urodzenia i zawód.
3. Wykształcenie: podstawowe, średnie, wyższe (lata nauki, nazwy szkół i uczelni); stopnie naukowe, wojskowe (rok uzyskania).
4. Praca zawodowa (daty, miejsce pracy, pełnione funkcje) i osiągnięcia zawodowe (opublikowane prace naukowe, wykonane dzieła).
5. Odznaczenia (nazwa i rok otrzymania).
6. Sytuacja majątkowa (majątek ziemny, fabryka, zakład produkcyjny, rzemieślniczy, sklep, apteka itp.)

7. Działalność niepodległościowa (powstania narodowe i spiski, organizacje niepodległościowe przed I wojną, Legiony Polskie, udział ochotniczy w wojnach 1918-1920 i powstaniach śląskich).

8. Działalność na polu politycznym, gospodarczym, naukowym, wojskowym, społecznym, kulturalnym i dobroczynnym, (nazwy towarzystw, partii, organizacji; pełnione w nich funkcje oraz lata działania).

9. II wojna światowa (służba wojskowa, konspiracja, obozy koncentracyjne, więzienia, zsyłka); represje wobec rodziny.

10. Data ekspatryjacji z Pokucia, nowe miejsce osiedlenia.

11. Imię i nazwisko autora biogramu, pokrewieństwo w stosunku do osoby opisywanej oraz wykorzystane źródła.

Bożena Krupska

Żydzi na ziemiach dawnej Rzeczpospolitej

Przed wojną żydzy stanowili jedną trzecią mieszkańców Tłumacza. Dlatego dokumentując w „Zeszytach Tłumackich” dzieje naszego miasta staramy się pamiętać o wszystkich naszych współmieszkańcach.

Poniższy tekst stanowi wyjątek z książki „Żydzi w Polsce” autorstwa W. Bukowskiego i S. Gąsiorowskiego (Kraków 1998r).

Redakcja

O początkach osadnictwa żydowskiego w Polsce wiadomo bardzo niewiele. Już jednak najdawniejsze wiadomości źródłowe z X i XI w. poświadczają obecność

kupców na południowych ziemiach państwa polskiego, przez które przebiegał ważny dla Słowian szlak handlowy Praga - Kraków - Kijów, będący fragmentem szerszego szlaku, łączącego Europę Zachodnią z Rusią, dalej z nadwołżańskim państwem Chazanów i Dalekim Wschodem, a od południowego zachodu z Bizancjum. Szlaki te, obok kupców arabskich, wareskich i innych, obsługiwali przede wszystkim kupcy żydowscy z Europy, którzy zakładali tu faktorie kupieckie...

U schyłku XVI wieku liczbę ludności żydowskiej w Polsce szacuje się na ok. 90 - 100 tysięcy. Nowo przybyli osiedlali się najliczniej w miastach Rusi Czerwonej. [...] Po Unii Lubelskiej w 1569 r. część Żydów przesiedliła się dalej na wschód na Ukrainę, co spowodowało, że centrum życia żydowskiego przeniosło się na wschód-

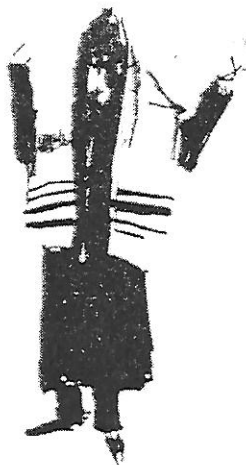
nie ziemie Rzeczypospolitej. [...] W wielu miastach Żydzi stanowili nawet 80 - 90% mieszkańców.

Mimo późniejszych zmian granic, utraty przez Rzeczypospolitą części ziem Ukrainy, najpierw objętych powstaniem Chmielnickiego, potem na rzecz Rosji, wreszcie - w wyniku rozbiorów i utraty niepodległości, sytuacja Żydów zasadniczo nie uległa zmianom. Ich liczba nieustannie rosła aż do końca XIX wieku, kiedy to w wyniku ukazów carskich i pogromów, byli wysiedlani z ziem uznanych za rdzennie rosyjskie (tj. wyznaczonych granicami dawnej Rzeczypospolitej).

Żydzi nie dążyli do pełnej asymilacji, pragnąc zachować swój język, wiarę i rytuał religijny. Dlatego też osiedlali się w zwartych skupiskach, izolując się w ten sposób od reszty ludności. Gmina żydowska była nie tylko związkiem administracyjnym, ale i religijnym. [...] Władza w gminie należała do rabina oraz starszych (seniorów), wybieranych przez społeczność i zatwierdzanych przez przedstawiciela administracji państwowej.

Najważniejszym elementem topografii była synagoga. Tutaj dwa razy dziennie odprawiano modły, studiowano uczone księgi, odbywały się obrady [...] Wokół niej stawiano zazwyczaj budynki przeznaczone na szkołę, mieszkanie dla rabina i szkolników czy łaźnie. [...] Duże

znaczenie w każdej gminie miały szkoły żydowskie. [...] Żydów płci męskiej obowiązywało w zasadzie szkolnictwo powszechne, ponieważ każdy mężczyzna powinien od 13 roku życia praktykować kult i studiować Torę [...] Chłopcy uczyli się w chederach w systemie dwustopniowym. W szkole pierwszego stopnia dzieci w wieku od 4 do 8 lat zaznajamiali się z alfabetem hebrajskim, próbowały czytać ustępy z Biblii, poznawały najprostsze działania matematyczne oraz zasady dobrego wychowania. Drugi stopień obejmował badania Talmudu i komentarzy do niego, kończył się wraz z osiągnięciem przez



ucznia 13 roku życia. Wyznacznikiem osiągnięcia przez chłopca wieku męskiego był obrzęd bar micwa. Obchodzono go bardzo uroczysto w synagodze. [...] Dziewczęta nie chodziły do szkół. Wychowywano je w domu do zamążpójścia, ucząc je jedynie czytania ze specjalnie dla nich przeznaczonych biblii kobiecych, pełnych legend i przypowieści oraz robótek ręcznych. [...] Powszechna znajomość przez Żydów czytania i pisania, nawet wśród kobiet, wyróżniała ich na tle szerokiego analfabetyzmu polskiego społeczeństwa. [...] Codzienne życie Żydów regulował z jednej strony rytuał judaizmu, a z drugiej rozporządzenia władz gminnych. [...] Dopiero w XVII wieku uformował się tradycyjny ubiór polskich Żydów.



czyli czarna bekiesza, a także odmienne uczesania tzn. długie brody i pejsy. [...] Rytm życia wyznaczały święta. Do najważniejszych należał Jom Kipur (Święto Pojednania), Sukot (Święto Szafasów), Pesach (Pascha), Chanuka (Święto Odnowienia), Rosz Haszana (Nowy Rok) i Purim (Święto Lasów). Każdego tygodnia świętowano w piątek wieczorem i w sobotę szabas, spędzając czas na modlitwach w synagodze, uroczystych posiłkach, studiowaniu Biblii lub Talmudu. Niedziela była dla Żydów dniem normalnej pracy. [...] Tradycja i obyczaj regulowały również życie osobiste członków społeczności żydowskiej. Według zwyczaju chłopcy powinni zawrzeć związek małżeński między 13 a 18 rokiem życia, a dziewczęta między 12 a 14. Pary kojarzono za pośrednictwem swatów. Kobieta nie była równa mężczyźnie, i nie miała wstępu do głównych sal modlitewnych. [...] Żydzi dużą wagę przywiązywali do swojego języka. Najważniejszy, niemal święty był język hebrajski, w którym spisano Biblię. W dniu powszednim posługiwali się językiem jidysz (starogermański dialekt z domieszką słów hebrajskich, romańskich, a także słowiańskich).

Z życia Tłumaczan

Kalendarium kresowe

Danuta Tabińska-Juhasz

W dniu 9 grudnia 2002 doszło do podpisania umowy o współpracy między Wrocławiem i Lwowem.

Na początku dotyczyć to będzie wymiany kulturalnej, pracy z młodzieżą oraz wymiany doświadczeń w zakresie pomocy społecznej. Będą też wspierane inicjatywy gospodarcze pomiędzy firmami nawiązującymi wzajemne kontakty. Podpisanie tej umowy jest uwieńczeniem długotrwałych starań naszego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich u władz Wrocławia o nawiązanie kontaktów z władzami Lwowa. Nowo-

wybrany prezydent Wrocławia p. Rafał Dutkiewicz zdobył się dopiero na odważną i słuszną decyzję aby pojechać do Lwowa i tam wspólnie z merem tego miasta p. Buniakiem umowę podpisać. Brawo!

W dniach 11 i 12 grudnia 2002 w ramach „dni Lwowa i Kresów” już po raz trzeci w Zespole Szkół Gastronomicznych we Wrocławiu przy ul. Kamiennej 86, odbyła się wystawa wypieków świątecznych i potraw wigilijnych, przygotowanych wg. tradycji i receptur kresowych. W dużych salach warsztatów szkolnych na pięknie udekorowanych stołach (świece, siano, orzeszki i akcesoria gospodarstwa domowego z ubiegłego wieku) wyeksponowano różnorodne potrawy i wypieki. Wystawa została przygotowana przez nauczycieli tej szkoły z rodowoda-

mi Kresowymi: p. Beatę Oziębłowską i Irenę Bekert. Imprezie towarzyszył kiermasz czasopism i książek kresowych urządzony przez Fundację Kresową „Semper Fidelis” oraz wystawa na planszach starych zdjęć i widokówek przygotowana przez Wrocławski Oddział TML i KPW. Wystawie również drugim dniem towarzyszyły spotkania, prelekcje i wykłady:

1. „Wkład kultury Kresów Wschodnich w dzieje narodu polskiego” - **Piotr Sutowicz**.
2. „Śladami kultury polskiej na Kresach” - film - **Wiesław Kuc**.
3. „Obiekty kultu religijnego we Wrocławiu i na Dolnym Śląsku rodem z Kresów” - **Tadeusz Kukiz**.
4. „Związki Wrocławia z Lwowem” - **Danuta Nespia**k.
5. „Spacer po Lwowie” - Slajdy, zdjęcia, komentarze - **Marek Rogalski**
6. „Laszki Murowane i Tuligłowy - małe miejscowości o bogatej historii” - **Beata Oziębłowska**.

Tak bogaty 2-dniowy program z inicjatywy jednej szkoły nie tylko był kształcący dla młodzieży, ale i zwiędzający - byli wzruszeni przywołując wspomnienia ze świata dzieciństwa.

W dniu 15 grudnia 2002 w czasie obchodów 40-lecia Telewizji Wrocławskiej, delegacje Oddziałów i Klubów TML i KPW w tym naszego OOT spotkały się z Prezesem Ryszardem Nowakiem prosząc o wznowienie audycji „Studio Wschód”. Wycofanie tego programu spowodowało duże rozgoryczenie Kresowian tak licznie zamieszkałych na Dolnym Śląsku. Chociaż redaktorka Grażyna Orłowska-Sondej stara się umieścić migawki z Kresów na końcu swojego programu interwencyjnego „Dolnośląski Magazyn Reporterów” w każdy czwartek o godz. 19-tej. w 3 programie. Od Pana Prezesa TV Wrocław, otrzymaliśmy obietnicę wznowienia programu o tej tematyce, tylko być może w zmienionej koncepcji. O ile tylko Prezes słowa dotrzyma, niezwłocznie zawiadomimy naszych Czytelników.

Miesiąc styczeń obfitował w spotkania opłatkowe w różnych towarzystwach kresowych.

Opłatek Tłumaczan

Jak co roku spotkaliśmy się na uroczystości opłatkowej w restauracji Bankowa. Tradycyjnie opłatek poprzedziła msza św. Jest ona odprawiana w „naszym” kościele św. Stanisława i św. Doroty. Dlaczego naszym? W tej parafii proboszczem przez 32 lata był tłumaczanin ks. kanonik Czesław Tuzinkiewicz. W bocznej prawej nawie znajduje się obraz Najświętszego Serca Pana Jezusa z tłumackiego kościoła. W tej też świątyni są tablice: jedna wmurowana w 1979 roku, poświęcona byłym profesorom i uczniom Gimnazjum w Tłumaczu, poległym lub umęczonym w latach wojen 1914 - 1945, drugą odsłonięto w 1991 ku czci wieloletniego proboszcza kościoła p.w. św. Anny w Tłumaczu ks. kan. Edwarda Tabaczkowskiego, który zginął w stanisławowskim więzieniu w 1943 roku za pomoc w ukrywaniu Żydów.

W tym roku mszę koncelebrowaną odprawiało 3 księży. Głównym celebransem, był obecny proboszcz parafii Zachowice ks. Stanisław Kulig. Pod jego jurysdykcją znajduje się obraz św. Anny Samotrzeciej z ołta-

rza głównego tłumackiego kościoła, który po ekspatriacji znalazł swe miejsce w kościółku filialnym w Siedlakowicach. Asystowali mu poprzedni proboszcz ks. Zdzisław Wróbel oraz proboszcz kościoła św. Stanisława i św. Doroty ks. kanonik Andrzej Brodawka. Podczas mszy śpiewał chór „Dumka” ze Stabłowic pod batutą dr Józefa Jachera. Słowem wstępnym rozpoczął mszę ks. kanonik Andrzej Brodawka, wspominając o kolejnej rocznicy śmierci ks. Tabaczkowskiego i o nas gromadzących się z okazji opłatka, homilię wygłosił ks. Zbigniew Wróbel. Mówił w niej o tradycji i więzi jaką utrzymujemy my tłumaczanie, przechodząc do rozważań filozoficzno-teologicznych.

Po mszy tłumaczanie udali się do restauracji Bankowa na spotkanie. Gwar powitania, okrzyki radości, towarzyszyły zebrany. Nie potrafię oddać atmosfery tego popołudnia w tym przekazie. Tam po prostu trzeba było być i samemu to przeżyć. Stoły w kształcie litery T udekorowane świątecznie, obficie zastawione, czekały już na uczestników. Wydarzenia te i poprzednio w kościele, skrzętnie rejestrowała Telewizja Wrocławska program 3.

Spotkanie otworzył Prezes Oddziału Z. Burczyński. Przeprawił za to, że nie może poprowadzić uroczystości ze względu na niedyspozycję gardła, cedując to na V-ce prezesa D. Tabińską-Juhasz, która powitała zebranych i gości a byli: m.in. Prezes ZG.TMLiKPW dr A. Kamiński, V-ce prezes ZG Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej Bolesława Sudomlak. Przewodniczący SUOZUN Szczepan Siekierka. Po podzieleniu się opłatkami, rozpoczęła się biesiada i rozmowy, wspomnienia po raz enty. Telewizja krążąc pomiędzy uczestnikami nagrywała wspomnienia. Te zapisy ukazały się następnego dnia w programie 3 o godzinie 16. Niezmordowany chór DUMKA za co serdecznie mu dziękujemy długo umiłał nam spotkanie. Rozmowom, wspomnieniom, jak to zawsze przy takich okazjach bywa, nie było końca.

Z przykrością dostrzega się, że z roku na rok topnieje grupa spotykających się. Coraz bardziej rzadną nasze szeregi. Wiele z nas pozostaje w domu, bo zdrowie i starość, nieubłaganie dają znać o sobie. Przesyłają pozdrowienia i życzenia, które odczytywane zostają na spotkaniu i za które bardzo dziękujemy.

Czas nieubłaganie płynął i trzeba było się rozstać. Znowu powtórzyły się pożegnalne, uściski, udzielanie porad. tu i ówdzie błysła w oku łza. Tradycyjnie do zobaczenia - lokal pustoszeje... Rozchodząc się myślimy o tym, ilu z nas spotka się na organizowanych już od blisko 15 lat, następnych „tłumackich” wczasach w Kołobrzegu.

Niestrudzonej dokumentalistce zdarzeń Kresowych, red. Grażynie Orłowskiej-Sondej i towarzyszącej Jej ekipie składamy serdeczne podziękowania za to, że i nasz tłumacki los znalazł się na taśmie filmowej dokumentującej, że kiedyś, gdzieś, był Tłumacz i że jego mieszkańcy zmuszeni do opuszczenia kochanego miasta, nie zapomnieli o nim. To dzięki Pani Grażynie pozostaje w archiwum TV, dokument naszego przywiązania do stron ojczystych.

Wrażeniami podzielił się

Jerzy Czyżewski

Lista ofiarodawców za I kw. 2003 r. (w zł)

1. Wojtotowicz Jan, Nowa Sól	19,-
2. Masłowski Jan, Smolec	5,-
3. Niwińska Helena, Kraków	10,-
4. Woroszczuk Rudolf, Brzeg	57,-
5. Petrus Juliusz, Rzeszów	57,-
6. Obarymski Julian, Jaworzno	5,-
7. Radomski Ryszard, Radomsko	7,-
8. Baranicki Antoni, Stargard-Gubiński	5,-
9. Fudali Stanisław, Szczecin	27,-
10. Tomyn Włodzimierz, Warszawa	107,-
11. Juszczak-Ptaszczyszyn Jeżów	27,-
12. Czerniak Władysław, Miasteczko Śląskie	5,-
13. Tuzinkiewicz Romuald, Wrocław	57,-
14. Bielański Jan, Wrocław	57,-
15. Wojtkowiak Krystyna, Bierutów	5,-
16. Pielasz Jerzy, Gliwice	7,-
17. Kłonowski Wincenty, Trzcińsko-Zdrój	7,-
18. Kubica Janina, Warszawa	57,-
19. Kupiniak Irena, Tarnów	50,-
20. Lipiński Jan, Głubczyce	50,-
21. Siemaszko Władysław, Warszawa	7,-
22. Johnson Romana, Nysa	27,-

23. Piotrowska Stanisława, Sanok	77,-
24. Stybel Janina, Wrocław	7,-
25. Strahl Mirosława, Wrocław	7,-
26. Ruszkiewicz Zofia, Wrocław	7,-
27. Ślęzak Jan, Wrocław	7,-
28. Duszyński Józef, Gdynia	57,-
29. Adamczak Maria, Oborniki Śląskie	7,-
30. Burczyński Zygmunt, Marszów	7,-
31. Harasymowicz Stanisław, Wrocław	7,-
32. Marciński Krystyna, Warszawa	7,-
33. Geruła Władysław, Wrocław	7,-
34. Laner Czesław, Oleszna	30,-
35. Stepniowska Stanisława, Wrocław Tablica	35,-
36. Czohara Józef, Bytom	7,-
37. Królikowska-Kusz Anna, Kąty Wrocławskie	4,-
38. Biliński Adam, Kąty Wrocławskie	20,-
39. Ruczkowska Maria, Katowice	57,-
40. Szelec Maria, Brzeg-Opoli	15,-
41. Storożenko Jadwiga, Katowice	57,-
42. Bogucka Anastazja, Gdańsk	7,-
43. Szymulowicz Krystyna, Stargard Gubiński	57,-
44. Jankowska Henryka, Lubsko	7,-
45. Burczyński Józef, Kamienna Góra	7,-
46. Piotrowicz Grzegorz, Tarnów	7,-
47. Tchorz Ludmiła, Kraków	57,-

Wszystkim Ofiarodawcom bardzo serdecznie dziękujemy.

Zawiadomienia - Apele

Wspólne wczasy

Nowy ośrodek wczasowy w Kołobrzegu w obecnym sezonie rozpoczyna działalność od maja. W związku z tym zarządzający prosi o podanie ilości wczasowiczów w turnusie. Z uwagi na to, że 1 czerwca przypada w niedzielę, turnus rozpoczyna się w dniu 2 czerwca i trwać będzie do 13 (piątek).

Wszyscy pragnący wypoczywać w tym terminie zobowiązani są do pisemnego zgłoszenia uczestnictwa w nieprzekraczalnym terminie do dnia 20 kwietnia br. na adres Zarządu Oddziału ul. Ruska 32/33, 50-079 Wrocław. Osobom niezgłoszonym ośrodek NIE GWARANTUJE PRZYJĘCIA.

Koszty pobytu wynoszą 12 zł od osoby za dzień w domku, 8 zł w baraku. Ceny obiadów nie powinny odbiegać od zeszlórcznych. Jedynie opłata uzdrowiskowa jeżeli nie ulegnie zmianie wynosi w tym roku 3 zł za dzień.

Zarząd

Wycieczka do Tłumacza !

Waliszowianie ponownie organizują wycieczkę w nasze strony tj. do Tarnowicy Polnej, Tłumacza i Kołomyji. Zarezerwowano 10 miejsc w autokarze dla Tłumaczan.

Wyjazd nastąpi w nocy 26 czerwca 2003 - powrót 30 czerwca 2003.

Koszt przejazdu i ubezpieczenia wynosi 200 zł. Noclegi (płatne indywidualnie) około 5\$ w domkach prywatnych. Chętnych prosimy o zgłoszenie pisemne i wpłatę zaliczki w wys. 100 zł na nasze konto bankowe (nowe!). Szczegóły prześlemy pisemnie zainteresowanym.

Zarząd

APEL DO SIBIRAKÓW

W Toronto powstała polska organizacja, która prowadzi akcję uzyskania odszkodowania od Rosji dla Sybiraków za poniesione krzywdy i straty. W chwili obecnej zgłosiło się ponad 1500 osób z całego świata.

W dalszym ciągu apeluje się do Sybiraków, którzy jeszcze nie zgłosili się, o dokonanie tego na adres: Former Polish Political Prisoners in U.S.R.R.(Canada) Inc. 451 The West Mall #605-Etobicoke-Ontario-M9G 1G1 Tel. 001 416-621-5221 E-mail: rwtruksa@aol.com

Apel p. Dory Kacnelson,

która reprezentowała Ukrainę na Forum Mediów Polonijnych do dzieci osób pomordowanych na Wołyniu i w Małopolsce wschodniej przez UPA.

W lipcu 2003 r. w Krakowie i w Warszawie obchodzona będzie 60-ta rocznica tych tragicznych wydarzeń, w których straciło życie ok. 400 tys. Polaków i ok. 100 tys. Żydów. Prezesem, do którego prosimy się zgłaszać jest: płk. AK Jan Niewiński - 02-619 Warszawa; ul. Weinerta 21/23

Do wszystkich osób urodzonych na szlaku bojowym 2 Korpusu (Teheran - Bolonia)

My, mieszkańcy Łodzi - Cezary Władysław Rembowski oraz Barbara Kaczmarek z domu Andrzejewska, urodzeni w Palestynie, zwracamy się do wszystkich osób urodzonych na szlaku bojowym 2 Korpusu (Teheran-Bolonia) dowodzonego przez Generała Władysława Andersa, o zgłoszenie chęci uczestnictwa we wspólnym spotkaniu.

Do spotkania powinno dojść w terminie kwiecień - maj 2004 r. w Łodzi. Będzie to 60 rocznica Bitwy o Monte Cassino. Zamiarem pomysłodawców jest, aby w spotkaniu uczestniczyły osoby zamieszkałe aktualnie w różnych krajach oraz osoby zamieszkałe w Polsce. Celem spotkania będzie wymiana wspomnień, doświadczeń życiowych oraz utrzymanie poczucia wspólnoty z Krajem Rodziców, którzy walczyli na obczyźnie o wolność Polski. Konkretny termin i czas spotkania uzależniony jest od ilości zgłoszeń i propozycji zgłoszonych przez przyszłych uczestników spotkania.

Wszelkie sprawy związane ze spotkaniem prosimy kierować na adres:

Cezary Wł. Rembowski, 93-219 Łódź, ul. Tatrzńska 43/45 m.16, tel. 004842 643 86 02

„W cieniu baobabu”

Poszukujemy kontaktów z dawnymi Afrykańczykami z Polski i z zagranicy. Poszukujemy relacji z okresu zsyłki do Rosji i pobytu w Afryce. Posłużą nam one do stworzenia scenariusza filmu.

Chcielibyśmy poznać również działalność i wydawane pisma w ramach komitetów i organizacji utworzonych przez Afrykańczyków na całym świecie. Ciekawi jesteśmy losów Afrykańczyków po powrocie z Afryki.

Ewa Misiewicz - Producent filmowy, Fama Films, 00-410 Warszawa, Aleja 3 Maja 3/33

tel./fax: (022) 628-87-86; e-mail: famafilm@polbox.com

Spis treści

Wokół Wielkanocy

Jajko - H. Szymanderska - „Polska Wielkanoc” - W-wa 1990 r.	1
Pisanka - Bohdan Stupka - „Podaruj mi pisanekę” - Iwano Frankiowski 2001	1
„Ojca Grande przepisy na zdrowe życie”	2
Obchodzenie Świąt Wielkanocnych w Tarnowicy Polnej przed Wojną - Bronisław Gacek	5
Wiejskie Wesele - Bronisław Gacek	5

II. Tłumacz w okresie I Wojny Światowej

Powrót (cd) - Franciszek Petrus	7
---------------------------------------	---

III. Lata wojenne 1939-45

W drodze za Ural (cz. II) - Stanisław Fudali	9
--	---

IV. Kościoły

Nasz Stanisławów (cz.I) - ks. Lesław Jeżowski	12
---	----

V Odnalezieni Tłumaczanie

Ojciec - Janusz Kłopotowski	15
Dawna koleżanka - Danuta Tabińska-Juhasz	17

VI. Listy

Janina Reich	17
Z Archiwum Polski Podziemnej 1939 - 1956	18
Patrzac na stare fotografie - Stanisław Pelikan	18
Apel do Słownika Biograficznego Pokucia - Bożena Krupska	18
Żydzi na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej	20

VI. Z życia Tłumaczan

Kalendarium kresowe	21
Oplatek Tłumaczan - Jerzy Czyżycki	22
Lista ofiarodawców	23
Zawiadomienia i apele	23

Redaguje zespół w składzie:

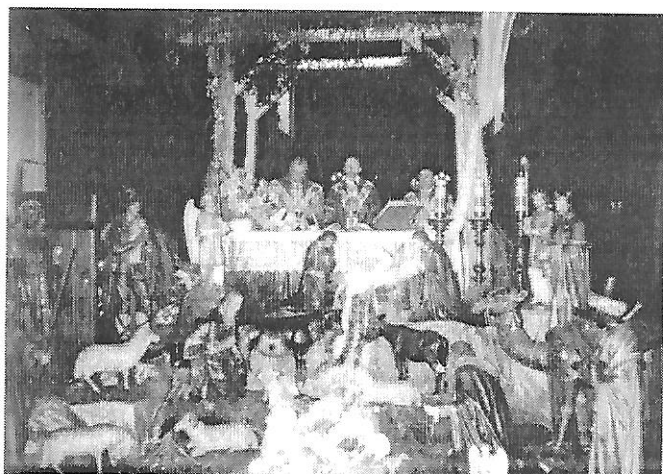
Danuta Tabińska-Juhasz - redaktor naczelny, zastępca Elżbieta Niewolska
Helena Bilińska, Anna Panachida-Bocheńska, Krystyna Ossowska-Korta
Adres redakcji: TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. 50-076 Wrocław,
ul. Ruska 32/33, Ip. tel. 071/ 344-88-93.
Konto Bankowe PKO-BP IV O/Wrocław 10205242-128394253
Skład i druk: Drukarnia RAPID - Wrocław

Materiałów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwracamy natomiast przesyłane nam zdjęcia lub widokówki.

W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów
oraz poprawek stylistyczno - językowych.

Uwaga ! Cena rocznej prenumeraty ZT wynosi 25 zł.

Spotkanie Oplątkowe Tłumaczan



Msza we wrocławskim kościele p.w. Św. Doroty celebrowana przez 3 księży: ks. A. Brodawkę, ks. St. Kuliga, ks. Z. Wróbla.



homilię wygłosił ks. Zdzisław Wróbel witając Tłumaczan



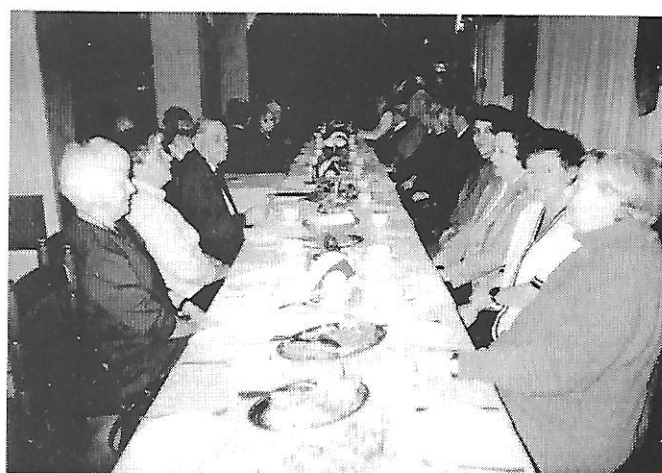
Od lewej: A. Panachida-Boheńska, M. Seidler-Sthral, W. Bilińska, Sz. Siekierka, B. Sudomlak, A. Kamiński, Z. Burczyński, (w głębi działa ekipa telewizyjna).



Chór „Dumka” pod dyr. dr J. Jachera umilił nasze spotkanie.



„Kącik kasowy” - od lewej: M. Laner-Adamczyk, A. Bocheńska-Panachida, Z. Ruskiewicz i J. Stybel.



Stół oplątkowy - od prawej:

